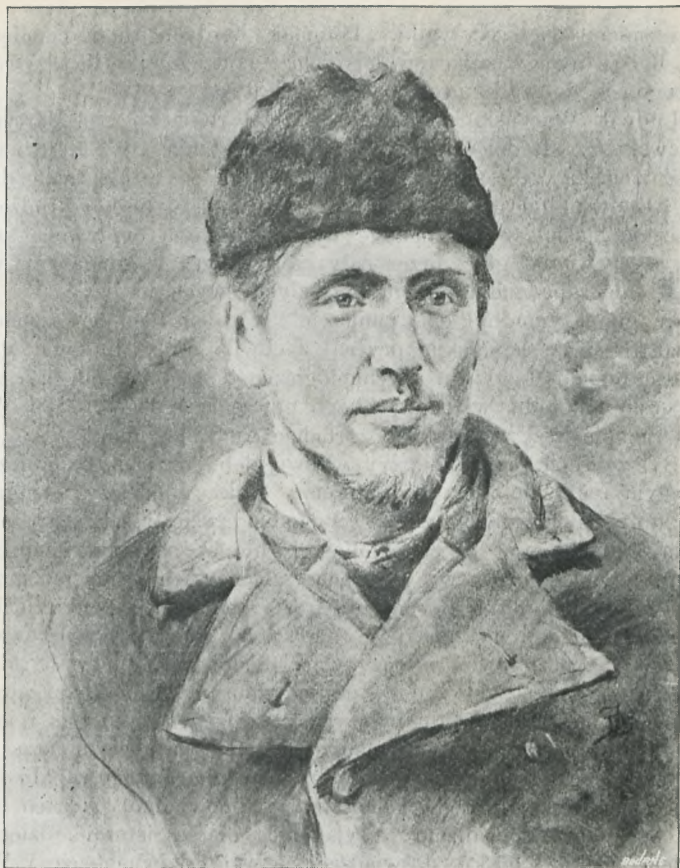
[nr 7]



ŁUDWIK WARYŃSKI

Na kresach dawnej Rzeczypospolitej polskiej, wśród dzikich stepów ukraińskich, w ciągłych utarczkach krwawych z tatarami, z Moskwą, z turkami, z ujarzmioną ludnością miejscową — wyhodowało się dziwnie harde i butne plemię szlachty polskiej. Gdy potęgę szlacheckiej rzeczypospolitej najazd złamał, długo jeszcze na kresach ukraińskich szumiała buta panków, szukających ujścia dla swej energii w bezmyślnych hulankach i burdach. Minęły i te czasy. Ale do dziś krople krwi, zahartowanej przed wiekami, płyną w żyłach szlachty ukraińskiej. Do dziś na wszystkich polach działalności społecznej u nas spotkać możemy postacie „kresowców“, „ukraińców“, dla których walka, „rycerska przyczyna“ największą jest w życiu rozkoszą. Jedną z najpiękniejszych postaci tego plemienia, nieodrodnym synem rycerzy, którzy życie spędzali z ręką na mieczu, a z nogą w strzemieniu — był Ludwik Waryński. Ale zmieniły się czasy, zmienił się plac

boju, i zmienił się cel walki. Potomek hardych ongi ciemiężycieli chłopa był jednym z najhartowniejszych, z najdzielniejszych przywódców budzącego się do walki proletaryatu polskiego.

Ludwik Waryński urodził się w 1856 roku we wsi Martynowka w Kijowskiem. Rodzice jego w skutek powstania 1863 r. utracili posiadłość ziemską, lecz swoją drogą należeli do zamożniejszych dzierżawców. Ludwik był jednym z młodszych członków licznego rodzeństwa, i widocznie musiał w dzieciństwie być pod silnym wpływem szlacheckiego wychowania, gdyż przez cały czas pobytu w gimnazyum w Białejcerkwi nie zapowiadał niczem przyszłych swych losów.

W gimnazyum był on „paniczem“ w całem tego słowa znaczeniu. Ale czar tresury szlagońskiej prysnął z chwilą, gdy Ludwik w 1875 roku wstąpił do Instytutu Technologicznego w Petersburgu i znalazł się na szerszem polu, wśród żywszego otoczenia kolegów. Tu Waryński po raz pierwszy zetknął się z ruchem rewolucyjnym.

Był to ruch rosyjski, który w owej dobie odznaczał się niezwykle podniosłym i szlachetnym charakterem. Setki młodzieży obojga płci z klas uprzywilejowanych rzucały wygodne życie i szły „w narod“, do ludu. Przebierano się za chłopów i chłopki, wynajmowano się do ciężkich robót polnych we dworach szlacheckich i u z możniejszych chłopów-właścicieli. Wbrew ciągłej grozie denuncyacyi, uwięzienia, katorgi, nawet śmierci męczeńskiej — głoszono ludowi nową ewangelię socyalizmu. Apostołowie nieraz sami niedobrze pojmowali głoszone nauki. Ale to nie czyniło ujmy ani ich dobrym chęciom, ani ogromowi ich poświęcenia. Piękne to były czasy! Dziś ruch u nas i gdzieindziej przybrał postać bez porównania potężniejszą i poważniejszą. A jednak dziś jeszcze trudno się oprzeć urokowi szlachetnego zapału i szczerej dziecięcej wiary, któremi tchną karty opowiadań o losach ówczesnych apostołów socyalizmu rosyjskiego, nieraz istotnie dzieci pod względem wieku i braku doświadczenia. Nic dziwnego, że i Waryński uległ — do pewnego stopnia na całe życie — wpływom tego ruchu.

Jednak pobyt Ludwika w Petersburgu trwał krótko. Już w końcu tego samego 1875 roku wydalono go z Instytutu za udział w rozruchach studenckich. Wysłano go na rok pod dozór policyi do wioski rodzinnej. Rok ten Waryński spędził na czytaniu książek o kwestyach społecznych i pogłębił w ten sposób swą wiedzę socyalistyczną.

Początki ruchu w Warszawie.

Na ów czas Warszawa — ta „wdowa polskiego ludu“ jak ją nazywa poeta Słowacki — zaczęła już zwlekać swe szaty żałobne po bojownikach powstania 1863 roku i przywdziewać nowy rynsztunek do nowych zapasów. W 1876 roku na dobre już wrzało w kołach postępowej młodzieży warszawskiej. Młodzież ta porzuciła hasła „pracy organicznej“ i szukała nowych dróg.

Czem była „praca organiczna“, to krótko powiada wierszyk: „Kiedy facetów sprytnych garść nieliczna — krwawym groszem ludu się wzbogaca, — to jest praca organiczna, — tak jest, panie, organi-

czna praca“. „Zbogacajmy się; czas krwawych walk o niepodległość już minął; im my będziemy bogatsi, tem lepiej naród stać będzie; przyszłość narodu w naszych kieszeniach“ — oto hasła, które niepodzielnie panowały w postępowych i nie-postępowych kołach inteligencyi i burżuazyi naszej od upadku powstania aż do 1876 roku. Ale koło tego roku właśnie dorosło pierwsze pokolenie nieprzetrzebione i niewystraszone rzeziami moskiewskiemi. Dorośli ci, którzy w czasie powstania byli tak jeszcze małemi dziećmi, że w powstaniu brać udział nie mogli, a więc ani nie padli w niem ofiarą, ani też nie ulegli zajęczemu przerażeniu.

Wyrastali oni przy odgłosach walki Komuny paryskiej. Pierwsze gazety, które do rąk brali, mówiły im o zwycięstwach wyborczych socyaldemokracyi niemieckiej, o procesach i prześladowaniach socyalistów rosyjskich. Pogarnęli się więc pod sztandar nowej nauki. Pod ten sam — czerwony sztandar socyalizmu — pchało ich otaczające życie. Młode oczy, przyglądając się przenikliwie obłudnym hasłom pracy organicznej, z łatwością dostrzegły, że „wzbogacanie narodu“ znaczyło wyzysk ludu pracującego. A na dobitkę w 1876 roku zaczął się kryzys w naszym przemyśle tkackim: około 100.000 osób pozostało bez środków do życia. Początkujący u nas kapitalizm dowiódł, że nawet kawałka suchego chleba nie potrafi zapewnić pracującej większości społeczeństwa.

Tak więc 1876 rok jest początkiem ruchu socyalistycznego u nas, a przedewszystkiem w Warszawie. Od tej chwili Warszawa znowu zaczyna pociągać do siebie lepsze siły młodzieży polskiej, które do owego czasu szukały sposobności do walki i poświęceń tam, gdzie dotąd walka wyłącznie wrzała, to jest, w Rosyi. Niemal jednocześnie z kilku innymi kresowcami, przybywa pod koniec 1876 roku Waryński do Warszawy.

Warszawska uniwersytecka młodzież socyalistyczna śpieszyła zanieść ewangelię wyzwolenia klasy robotniczej tam, gdzie nowa nauka mogła i powinna była znaleść grunt trwały — do robotników. Ale stosunków z robotnikami synowie warstw uprzywilejowanych na razie nie mieli. Szukali ich, i w tych poszukiwaniach naśladowali socyalistów rosyjskich: przywdziewali obdarty ubiór robotniczy i szli pracować do fabryk i warsztatów. Taka maskarada w gruncie rzeczy u nas była zbyteczną, bo robotnik polski nie miał tej nieufności do każdego „surdutowca“, jaką odznaczał się chłop rosyjski. Robotnik warszawski sam chodził w surducie, a razem z inteligencyą walczył niedawno w jednych szeregach powstańczych. Bądź co bądź praca w fabryce lub warsztacie nastręczała więcej sposobności do bliższego poznania lepszych jednostek z proletaryatu i do propagandy. Było to zwłaszcza pożyteczne przy ustnej propagandzie, a do ustnej propagandy musiano się wówczas ograniczać: literatury socyalistycznej jeszcze nie mieliśmy. To też i Waryński wstąpił do dużej fabryki maszyn Lilpopa i pracował tam do jesieni 1877 roku. Mieszkał on przez ten czas razem z dzielnym ślusarzem — jednym z pierwszych socyalistów polskich — Ludwikiem Kobylańskim (który zmarł w więzieniu Szlyselburskiem

w 1886 roku). W ich to mieszkaniu policya zrobiła pierwszą w Warszawie rewizyę socyalistyczną. Dom otoczono żołnierzami i narobiono w ten sposób wrzawy na całe miasto.

Młodzi propagandziści nie znali zupełnie życia praktycznego, socyalizmu nauczyli się z książek i dzielili się z robotnikami tem, co sami wiedzieli. Przedstawiali więc zalety społecznej własności środków wytwarzania, piętnowali wyzysk, nieuchronny przy prywatnej własności fabryk i ziemi, dowodzili możliwości ustroju socyalistycznego. Jednem słowem głosili najogólniejsze zasady socyalizmu bez zastosowania ich do naszego życia codziennego. Inaczej robić nie mogli, bo socyalizm znali tylko z książek, pisanych w obcych językach i opierających się na stosunkach innych krajów. Wykładali robotnikom naukę socyalizmu tak, jak im profesorowie wykładali różne nauki w uniwersytecie. Do roboty praktycznej, do walki codziennej brać się nie mogli i z tego jeszcze powodu, że brakło im zupełnie organizacyi. Każdy robił, co mu się wydawało dobrem. Każdego, kto tylko chciał słuchać nowych nauk, przyjmowano z otwartemi objęciami i z niczem się nie tajono.

W jesieni 1877 roku Waryński wyjechał z Warszawy do Puław i wstąpił tam do Instytutu Agronomicznego. Jako student nie potrzebował on stawać do wojska i unikał w ten sposób przerwy w działalności. A obok tego miał na celu zawiązanie stosunków z puławską młodzieżą. Istotnie w krótkim czasie Ludwik założył wśród studentów puławskich kółko socyalistyczne z kilkunastu osób, bywając zaś często w Warszawie ustalił stosunki między Puławami a stolicą. Jednak to wązkie pole działalności rychło przestało mu wystarczać. W kwietniu 1878 roku wraca do Warszawy i tworzy nowe ognisko propagandy, zakładając już na własną rękę mały warsztat ślusarski

Teraz działalność swą Ludwik rozpoczął od zaprowadzenia pewnego ładu w stosunkach partyjnych, od wytworzenia pierwszej naszej organizacyi socyalistycznej. Założył on robotniczą kasę oporu, której celem miało być zbieranie regularnych składek na fundusz pomocy przy strejkach. Samo przez się wynikało stąd drugie zadanie kasy : kierowanie strejkami i wogóle walką robotników z kapitalistami. A obok tego organizacya kasowa miała być gruntem do prowadzenia ściślejszej propagandy socyalistycznej. Pierwsze dwa zadania : popieranie i kierowanie strejkami wciągały już socyalistów w codzienne życie proletaryatu. Były to już zamiary podjęcia praktycznej walki — chociaż na razie walki tylko z pojedyńczymi kapitalistami. O walce wprost z rządem wcale nie myślano. Jednak i co do walki z kapitalistami — skończyło się prawie tylko na zamiarach. Istnienie „kasy oporu" było zbyt krótkie, a przyzwyczajenie do czysto apostolskiej propagandy zasad socyalizmu zbyt jeszcze silne. Bądź co bądź kasa oporu zrobiła dużo dobrego dla rozpowszechnienia zasad socyalistycznych. Rosła szybko : w maju liczyła 150 członków, w czerwcu już około 300.

Działalność szła skuteczniej z tego także powodu, że wreszcie zdołano wytworzyć początki socyalistycznej literatury polskiej. W styczniu 1878 roku Kazimierz Hildt zawiózł do Lipska rękopismy i wy-

drukował odrazu 7 broszur. W maju wybrał się po nie zagranicę Waryński. Nie umiał wcale po niemiecku, a były to w dodatku w Niemczech czasy praw wyjątkowych przeciwko socyalistom. Zadanie więc było dla Ludwika podwójnie niebezpieczne. Ale wrodzony spryt i pewność siebie nie zawiodły. W tym samym miesiącu Waryński własnoręcznie przeszwarcował i przywiózł do Warszawy 6.000 egzemplarzy.

Jednak nad młodą organizacyą zbierały się już chmury. Ostrożności jeszcze się nie nauczono. Do takiej organizacyi jak kasa oporu, poniekąd musiano przyjmować każdego, kto się tylko nastręczał. A im robota lepiej szła, tem większy zapał ogarniał działaczy. Urządzano coraz większe zebrania, z początku w mieszkaniach, potem — pod gołem niebem. Na zebraniach zaczęły się zjawiać osobistości nieznajome i podejrzane. Wreszcie 8 sierpnia uderzył grom : na Warszawę spadły pierwsze aresztowania socyalistów. W sierpniu, wrześniu i w październiku wzięto do cytadeli około 70 osób. Zaraz po pierwszych aresztowaniach Waryński musiał się ukrywać, i „przeszedł na nielegalnego“, to jest zamieszkał pod obcem nazwiskiem z fałszywym paszportem. Tak przetrwał on najgorętsze, najniebezpieczniejsze dwa miesiące i działał z podwójną energią. Każdego wieczora bywał na kilku zebraniach i wszędzie podtrzymywał ducha. W tym to czasie — we wrześniu — w Warszawie ułożono z głównym udziałem Waryńskiego, pierwszy program socyalistów polskich. Był to tak zwany program „brukselski“. Chociaż wydrukowano go wkrótce potem w Genewie, nosił on jako miejsce druku — dla wprowadzenia w błąd policyi — Brukselę.

Waryński w Galicyi.

Tego samego miesiąca — we wrześniu — Ludwik wyjechał do Galicyi i z początku bawił we Lwowie. Socyalizm liczył już tu drobną garstkę wyznawców wśród młodzieży uniwersyteckiej i robotników. Stosunki były już zawiązane, dzięki poprzednim — niedawnym — odwiedzinom innych towarzyszy warszawskich. Ale dopiero Waryński dał bodźca do żywszego ruchu i stworzył pierwszą w Galicyi organizacyę socyalistyczną. Na szerszą skalę działać zaczął, przeniósłszy się na początku grudnia na stałe do Krakowa. Stąd też dojeżdżał on do Wiednia i założył tam również kółko socyalistyczne. Między kółkami we Lwowie, Krakowie, Wiedniu oraz emigrantami z Warszawy, bawiącymi w Niemczech i w Genewie — wytworzyły się ożywione stosunki.

Przyzwyczajony do tajnej roboty w zaborze rosyjskim, nie znając praw austryackich, a przytem zmuszony od początku do ukrywania się pod obcem nazwiskiem, z fałszywym paszportem, Waryński musiał rozpocząć w Galicyi robotę na sposób warszawski. Zakładał więc tajne kółka dla propagandy socyalizmu i rozpowszechniał tajne wydawnictwa. Robota to była nie zastosowana do warunków miejscowych, ale też — jak widzieliśmy — i w Warszawie naówczas nie doszło jeszcze do działalności na szerszą skalę. Swoją drogą działalność Waryńskiego

pozostawiła w Galicyi niezatarte ślady, do dziś w pierwszych szeregach socyalistów galicyjskich spotykamy uczni Ludwika. A prokuratorya krakowska postarała się rychło wyprowadzić tajny ruch kółkowy na szeroką widownię publiczną.

Dnia 9 lutego 1879 r. aresztowano w Krakowie Ludwika i trzech innych towarzyszy. Napiętnujemy tu jeszcze raz sprawcę tych aresztowań, nikczemnego denuncyanta, drukarza Koziańskiego, który — o ile wiemy — do dziś żyje w Krakowie. Pan ten podjął się drukowania polskiego przekładu broszury Liebknechta „W obronie prawdy“ i do położenia na tem wydawnictwie firmy zagranicznej. Szło bowiem o to, by ochronić broszurę od konfiskaty. Otóż pieniądze za druk Koziański wziął przed oddaniem broszury nakładcom, a odnosząc wydawnictwo do mieszkania jednego z towarzyszy Ludwika poprowadził ze sobą policyę, którą poprzednio o wszystkiem zawiadomił. W tem mieszkaniu właśnie policya ujęła odrazu czterech towarzyszy.

Była to niesłychana gratka dla łapaczy krakowskich. Rzucili się więc z gorączkowym zapałem na świeże tropy. Zaalarmowano niemal cały Kraków. Wzięto do więzienia mnóstwo osób, po części nic wspólnego ze socyalizmem nie mających, tak np. między innymi sześćdziesięcioletniego tłomacza sądowego, który oddał parę usług osobistych jednemu z socyalistów. Zaczęły się długie miesiące śledztwa, a przez ten czas z poza murów więziennych dochodziły do publiczności ciągłe wieści o oburzającem postępowaniu władzy. Już przy aresztowaniu znęcano się nad Waryńskim i paru innymi towarzyszami. Potem obrzydliwe warunki więzienne zmusiły oskarżonych do wywalczania sobie ulg za pomocą „strejku głodowego“. Waryński, który w skutek niemożliwego pokarmu, złego powietrza i t. d. dostał silnej zgniłej gorączki, nie tylko nie mógł doprosić się przeniesienia do szpitala więziennego, ale nawet odmówiono mu wiktu szpitalnego. Postanowił więc głodem się umorzyć i przez 3 dni nic nie jadł. Dopiero to poskutkowało : przeniesiono go do szpitala. Wreszcie — co najgorsza — policya krakowska zakomunikowała władzom moskiewskim w Warszawie wszystkie szczegóły o osobach mieszkających w zaborze rosyjskim, jakich mogła się dowiedzieć przy rewizyach. Wszystko to już przez rok cały więzienia śledczego zajmowało i oburzało opinię publiczną w Krakowie. Wśród najgorszych łyków krakowskich wytworzyła się pewna sympatya dla prześladowanych. Zainteresowanie się nimi było również wielkie. Wszyscy byli ciekawi zobaczyć te osobliwe nieznane stworzenia — socyalistów. Stąd zjawiła się mimowoli ciekawość i pewna sympatya dla samego socyalizmu.

Więźniowie, pomimo wszelkich utrapień, nie tracili nietylko otuchy, ale i dobrego humoru. Wydali nawet dwa numery — naturalnie pisanej — gazetki humorystycznej (pierwszy p. t. „Zgrzyt“, drugi p. t. „Świst“).

Sędzia śledczy przez pewien czas nie mógł dojść nazwiska Ludwika. Występował on w różnych okazyach przy swej działalności pod nazwiskami Pawłowskiego, Trzcińskiego, Lipskiego... Gdy wreszcie sprawdzono tożsamość jego osoby, proces otrzymał urzędową nazwę :

„procesu Ludwika Waryńskiego i 33 wspólników“, tyle bowiem osób ostatecznie oddano pod sąd. Nazwa ta urzędowa okazała się na rozprawach sądowych słuszną, bo Waryński był głównym mówcą oskarżonych, jakby ich przedstawicielem wobec „sprawiedliwości“ burżuazyjnej. On jeden występował z teoretyczną obroną zasad socyalistycznych, oświadczając, iż stoi na gruncie wzmiankowanego programu „brukselskiego“. Inni oskarżeni ograniczali się do obrony własnej, dając zresztą prokuratorowi nieraz bardzo cięte odpowiedzi.

Prokurator — niejaki p. Brazon — plótł o socyalizmie duby smalone. Oskarżonym łatwo było nietylko odpierać jego niedorzeczne zarzuty, ale często wprost okrywać go śmiesznością. Doszło do tego, iż zahukany prokurator prosił o opiekę trybunału, „bo oskarżeni tak się trzymają, jak gdyby nie oni, lecz prokurator był pod sądem“.

Proces trwał dwa miesiące: od 16 lutego do 16 kwietnia 1880 roku i zakończył się uniewinnieniem wszystkich oskarżonych. Pięciu tylko z nich skazano na krótkie kary więzienne za fałszywe meldunki i t. p. Między tymi był i Ludwik, skazany na 7 dni zwykłego aresztu oraz na wydalenie z granic Austryi.

Socyalizm polski stoczył walną bitwę i odniósł zwycięstwo. A zwycięstwo przyznali mu sędziowie przysięgli, przedstawiciele nie proletaryatu, lecz kołtuńskiego mieszczaństwa galicyjskiego. Tem większy to był tryumf i tem większa radość wśród małej wówczas garstki naszych towarzyszy.

Waryński wraz z innymi towarzyszami „koroniarzami“ udał się do Genewy, gdzie już od października 1879 r. wychodziło pierwsze ogólnopolskie a przedewszystkiem uwzględniające potrzeby zaboru rosyjskiego pismo socyalistyczne „Równość“. W Genewie pozostawał on aż do grudnia 1881 r. i brał udział w redakcyi najpierw „Równości“ a potem „Przedświtu“ (który od 15 sierpnia 1881 r. zaczął wychodzić w miejsce „Równości“).

Poglądy Waryńskiego.

Musimy teraz zastanowić się nad teoretycznymi poglądami Waryńskiego. Ujawnił on je już przed sądem krakowskim, ogłaszając się za wyznawcę programu „brukselskiego“ i tłómacząc jego zasady.

Program „brukselski“ był programem rewolucyjnym. Powiadał on: „Zastosowanie w życiu.... zasad (socyalizmu) może być dokonane tylko przez sam lud (właściwie — proletaryat)“ i uważał, że cel ten, „wobec bezskuteczności dróg legalnych, może być osiągnięty tylko na drodze rewolucyi społecznej“. Ale dlaczego, „drogi legalne“ są zamknięte dla proletaryatu polskiego? Dlaczego proletaryat nasz nie może mieć nadziei na urządzenie społeczeństwa po swojemu w drodze pokojowej? Tego program nie mówi. I Waryński istotnie nie rozumiał gruntownej różnicy między położeniem np. szwajcarskich robotników a położeniem proletaryatu polskiego, ujarzmionego przez trzy państwa mniej lub więcej despotyczne.

Jak dalece szła „rewolucyjność“ programu „brukselskiego“, tego dowodzi następujące zdanie z niego: „Robotnik, sprzedający swą pracę

wedle ogólnych praw zamiany, nie może w żaden sposób wpłynąć na jej warunki". Zdanie to tyczy się robotników wszystkich krajów. Znaczy ono, że, zanim nie nastąpi rewolucya, robotnik nie może ani na odrobinę polepszyć warunków swego bytu. Oczywiście, każdy strejk zwycięski, historya każdego związku robotniczego, każda reforma, którą w ciągu ostatnich lat dwudziestu partye socyalistyczne wywalczyły na burżuazyi — wszystko to najzupełniej przeczy temu twierdzeniu. A z twierdzenia tego wypływałoby, że trzeba się na dziś ograniczyć do propagandy ideałów socyalistycznych, bo wszelka walka czynna z obecnym porządkiem byłaby bezowocna, zanim nie nastąpi rewolucya proletaryacka. Istotnie chociaż program wzmiankuje o takiej walce, mówi jednak o niej tylko jako „agitacyi", to jest, o środku do podbudzania ducha rewolucyjnego. Wprawdzie sam Waryński po roku pobytu zagranicą przyszedł do innych przekonań i uznawał naprzykład korzyści powszechnego głosowania. Ale i w tym wypadku widział on tylko korzyści dla ułatwienia propagandy.

Główną wadą programu brukselskiego jest, że nie był to właściwie program partyi politycznej, lecz — niezbyt zresztą dokładny — spis ideałów socyalistycznych. Wytłómaczymy to trochę szczegółowiej.

Program każdej partyi politycznej powinien dawać możliwie dokładny obraz najważniejszych urządzeń, które partya może i chce zaprowadzić, jeśli przyjdzie do steru władzy. Taki program socyalistyczny może być użyty i do walki codziennej przed zwycięstwem ostatecznem. Pokazuje on bowiem zarazem wady dzisiejszych urządzeń i wskazuje, jakich zmian w tem lub owem urządzeniu już dziś możemy przy sposobności się domagać. Obok tej czysto praktycznej, doraźnej korzyści, program taki zmusza każdego szczerego członka partyi socyalistycznej do porównywania urządzeń dzisiejszych z urządzeniami, których chce jego partya, to jest, do szczegółowego krytykowania urządzeń dzisiejszych. Ma więc on także wartość kształcącą i przygotowuje partyę do przyszłego kierowania losami narodu. Takim jest program Polskiej Partyi Socyalistycznej. Partya nasza odrazu po zwycięstwie urzeczywistniać może wszystkie jego punkty, a o niektóre ma sposobność walczyć już dziś.

Program „brukselski" jest inny. Jedyny punkt jego praktyczny (uspołecznienie środków i narzędzi pracy) ułożony jest niedokładnie, a nawet poniekąd fałszywie. Reszta tego programu przedstawia nader pobieżnie wady kapitalistycznego sposobu wytwarzania i podaje — jak powiedzieliśmy — ideały, to jest rzeczy, które mogą być dopiero skutkiem urządzeń socyalistycznych (np. wszechstronny rozwój przyrodzonych sił każdej jednostki). Otóż członkowie partyi socyalistycznej bynajmniej nie potrzebują jednozgodnie zapatrywać się na odległe skutki urządzeń socyalistycznych. Tak np. jeden towarzysz może twierdzić, że w państwie socyalistycznem, gdzie człowiek będzie wolniejszy od trosk i brudów ziemskich, zapanuje naprawdę miłość i cześć dla Pana Boga. Inny znów będzie dowodził, że w państwie socyalistycznem rozszerzy się oświata, i skutkiem tego ludzie przestaną wierzyć w Boga. Obydwa poglądy zupełnie nie nadają się do zamieszczania w programie

partyjnym. Wyrażają one „ideały“ prywatne, albo poglądy tego lub owego uczonego, ale z partyą polityczną nie mają nic wspólnego i nie powinny należeć do jej programu. Takie rzeczy mogą być skutkiem rozwoju społecznego, ale nigdy nie będą bezpośredniem dziełem żadnej partyi politycznej. Program „brukselski“, który się niemi zajmuje, nie ma za to miejsca na sprawy istotnie ważne.

Ani o rządach dzisiejszych, ani o porządkach politycznych program „brukselski“ nic nie mówi. To też Waryński przed sądem krakowskim powiedział, że program „pozostawia na stronie kwestye polityczne, które dopiero p o załatwieniu kwestyi ekonomicznej rozstrzygnięte zostaną“. Miało to prawdopodobnie znaczyć, że po uspołecznieniu środków i narzędzi pracy, po zniesieniu wyzysku zniknie powoli, stanie się zbytecznym wszelki rząd, wszelki przymus. Otóż i ten pogląd wyraża ideał, ideał bardzo piękny, ale najzupełniej nie obchodzący partyi socyalistycznej. [1]) Karmienie się wyłącznie takimi ideałami może być nawet szkodliwe, bo się zapomina o praktycznych rzeczach, które partya może i powinna zrobić. Przy wyłącznem zaprzątaniu się takiemi „odległemi kwestyami“ (tak sam Waryński nazwał swe poglądy na ustrój polityczny) można dojść do jednakowego potępiania naprzykład rządów rosyjskiego i szwajcarskiego, bo oba są rządami. Waryński sam jednak tak daleko nigdy nie zachodził, zbyt dużo miał na to zdrowego sensu, zmysłu praktycznego.

Z ogólnych poglądów na sprawy polityczne wypływał ściśle pogląd Waryńskiego i jego towarzyszy na najważniejszą dla nas sprawę polityczną: na niepodległość Polski. H a s ł u temu, które dziś zagrzewa do walki cały świadomy proletaryat polski, Waryński był przeciwny. Twierdził on zupełnie słusznie, że „tryumf zasad socyalizmu jest koniecznym warunkiem pomyślnej przyszłości narodu polskiego“; winszował jednemu ze współoskarżonych, gdy ten przed sądem krakowskim powiedział, iż „socyaliści są najlepszymi patryotami“; „Równość“ bez żadnej krytyki podała wiadomość, że robotnicy-socyaliści warszawscy na grobie zamordowanego w cytadeli towarzysza Bajtego zatknęli dwie chorągwie: czerwoną i narodową polską [2]) itd. itd. Waryński i jego towarzysze nie gorzej od nas odczuwali niewolę narodową i boleli nad ujarzmieniem Polski. A jednak h a s ł u niepodległości byli przeciwni. Nic dziwnego. Jak mówiliśmy, za czasów Waryńskiego ustrój socyalistyczny przedstawiano sobie jako niewyraźny ideał; urządzeniami, w których socyalizm może i musi praktycznie się urzeczywistnić, wcale się nie zajmowano. Zwłaszcza zaś nie zaprzątano się czysto politycznemi urządzeniami. To też Waryński nie zastanawiał się nad tem, że socyalizm u nas może przybrać w rzeczywistości jedną tylko formę poli-

---

1) Albowiem nie partya socyalistyczna zniesie wszelki rząd. Może on stać się zbytecznym, dzięki wzrostowi moralności i t. p. Może to być s k u t k i e m urządzeń socyalistycznych. Ale zanim zniknie potrzeba wszelkiego przymusu, ludzie muszą dojść przynajmniej do takiej jednomyślności, że znikną wszelkie rozdzielające ich partye polityczne, a więc i partya socyalistyczna.

2) My byśmy dziś uważali to co najmniej za zbyteczne. Nasz sztandar czerwony najlepiej wyraża wszystkie nasze dążenia, a więc i dążenie do niepodległości Polski

tyczną: niepodległej demokratycznej rzeczypospolitej. Naturalnie, ani Waryński, ani jego ówcześni towarzysze, ani organizacya „Proletaryat“, założona potem przez Waryńskiego — nigdy nie wystawiali innego hasła: konstytucyi moskiewskiej, które przed paru laty usiłowano narzucić klasie robotniczej polskiej.

Były i inne — może ważniejsze — przyczyny, dla których Waryński wprost zwalczał hasło niepodległości. Zarzucał on coprawda burżuazyi, iż „wyrzekła się narodowych tradycyi i nie marzyła o niepodległości“. Ale było to zaledwie w 17 lat po ostatniem powstaniu, i w głębi duszy Ludwik nie zupełnie wierzył w tak całkowite już znikczemnienie naszych warstw uprzywilejowanych. Bał się więc, że burżuazya użyje hasła wspólnego dla całego narodu i w jego imieniu ujmie ster społeczeństwa w swe ręce, poprowadzi proletaryat za sobą i zniszczy na długo budzącą się samodzielność, poczucie odrębnych interesów naszej klasy robotniczej. Bał się, że gdy zabrzmi hasło, które wyzyskiwacze mogliby także przyjąć za swoje, to „dla dobra całego narodu“ będzie głoszona zasada zgody, jedności narodowej — zamiast zasady walki klas, walki proletaryatu przeciwko burżuazyi. Bał się, że nawet hasła socyalizmu nie obronią proletaryatu od pójścia pod komendę burżuazyi, tak np. przed trybunałem krakowskim mówił: „Na program poruszenia mas w imię socyalizmu w celu odbudowania państwa polskiego nie zgadzam się. Według mnie socyalizm jest nie środkiem, lecz celem“. I obawy Waryńskiego w znacznej mierze były słuszne.

Istotnie w historyi naszych powstań nie brak przykładów, że używano hasła reform społecznych jako środka do poruszenia chłopów, celem odbudowania Polski. Ster powstania był jednak w rękach nie chłopów, lecz szlachty. To też gdyby powstanie zwyciężyło, nie chłopi przedewszystkiem, lecz szlachta by na tem zyskała. [3]) Co prawda inaczej być nie mogło, bo i wezwanie do powstania, i hasło niepodległości, i nawet hasła reform społecznych, nie z pośród chłopów, lecz z drobnej szlachty pochodziły. Czy za czasów Waryńskiego mogło być inaczej? Czy robotnik polski wówczas poczuł już na tyle swą istotną siłę, swe znaczenie w narodzie, żeby mógł sam wydać hasło do boju, żeby mógł odważyć się na myśl o ujęciu władzy narodowej w swe ręce? Nie — na to stanowczo było zawcześnie. Robotnik polski wówczas w walce o niepodległość musiałby oglądać się na tak zwane „wyższe warstwy“, jak dziś teoretycy socyalizmu rosyjskiego szukają oparcia dla swych marzeń o konstytucyi u burżuazyi moskiewskiej. [4])

Na poparcie swych obaw o skutki włączenia niepodległości Polski do programu socyalistycznego Waryński nawet nie potrzebował szukać dowodów w przeszłości, w historyi naszych powstań. Miał je przed

3) Ma się rozumieć — i chłopi by też coś zyskali. Ale takiemi korzyściami — nie wywalczonemi samodzielnie, lecz z łaski jak odpadki ze stołu pańskiego rzuconemi, żadna szczerze ludowa partya w swej działalności kierować się nie może.

4) W jednym z artykułów «Równości» z 1881 r. znajdujemy zdanie następujące: «Faktem jest, że przemawiając w imię Polski (teraz) jeszcze trudno masową przeprowadzić organizacyę, jeszcze węzeł gordyjski nie rozwiązany»

oczami w wypadkach ówczesnych. W 1881 r. w czasie pobytu Ludwika w Genewie powstało socyalistyczne „Stowarzyszenie Ludu Polskiego". Z wyjątkiem garstki zwolenników ówczesnego „Przedświtu" — między tymi oczywista i Ludwika — „Stowarzyszenie" owo objęło prawie wszystkie siły ówczesnego socyalizmu polskiego. Po stronie „Przedświtu" było zapewne więcej wybitnych jednostek, ale nie brakło ich i w „Ludzie Polskim". Program „Ludu polskiego" prawie w niczem nie był gorszy od programu „brukselskiego", ale zawierał hasło — „samoistnego bytu narodowego". Zdawało by się — że to zaleta. A tymczasem „Lud Polski" w ciągu 2 lat istnienia nic prawie nie dokonał i wprowadził zamęt w umysłach. Z nielicznymi wyjątkami członkowie „Ludu Polskiego" poszli rychło w „burżuje" i zawiesili socyalizm na kołku. Dlaczego? Oto dlatego, że wśród robotników polskich niedostatecznie była jeszcze wyrobiona samodzielność i świadomość odrębności klasowej. Nie umieli więc utrzymać „inteligentów" na wodzy. A panowie „inteligenci" z „Ludu Polskiego", nie zakosztowawszy nawet proletaryackiej walki klasowej, postanowili zebrać niemal wszystkie klasy narodu pod swój sztandar. Dbali więc o „zgodę narodową", to jest baczyli przedewszystkiem, aby — broń Boże — nie stała się zbyt wielka krzywda uprzywilejowanym, aby ci „nie zrazili się". [5])

Tak więc nawet niektóre błędy w poglądach Waryńskiego właściwie błędami w owe czasy nie były. Spotykamy coprawda w wywodach Ludwika czasem — powiedzmy po prostu — głupstwa. Tak np. głównej przyczyny, dla czego socyalizm u nas zjawił się niby tak późno, szukał on w powstaniach narodowych. Powstania — mówił — łączyły ze sobą różne klasy społeczeństwa dla wspólnej walki, a dzięki temu nie mogła tak rychło powstać świadomość odrębnych interesów proletaryatu. Otóż po pierwsze sam proletaryat wielko-przemysłowy, który jest uważany za prawdziwą podporę socyalizmu, rozwinął się u nas dopiero po ostatniem powstaniu, a zatem powstania w niczem nie mogły mu zawadzać. Dalej — powstania zostawiły w miejskiej klasie pracującej u nas wspomnienia i uczucia rewolucyjne, co znakomicie pomogło rozwojowi naszego ruchu. Wreszcie — socyalizm robotniczy, dzisiejszy nie o wiele był u nas późniejszym, niż w niektórych innych krajach europejskich, socyalizm zaś dawniejszy nie-robotniczy mieliśmy w tym samym czasie, co gdzieindziej. A jeśli pomimo wspomnień i uczuć rewolucyjnych, zaszczepionych przez powstania, ruch robotniczy rozwijał się u nas wolniej, niż w Europie Zachodniej, to temu winien jest ucisk i srogie prześladowania rządów zaborczych, zwłaszcza moskiewskiego. O tem Waryński w zapale dyskusyi zapominał.

Ale też zacietrzewić się w sporach z przeciwnikami, nabrać wstrętu do wszystkiego co „patryotycznem" się zowie — łatwo było w owych

5) Jedna z odezw tego kierunku mówiła: «Zwracamy uwagę naszej inteligencyi, zwracamy uwagę młodzieży naszej, że nie ulega wątpliwości konieczność zrzeczenia się osobliwych praw i warunków przez klasy uprzywilejowane. Lecz o to chodzi, by to zrzeczenie nastąpiło bez takich cierpień i walk bezużytecznych, bez głodowych strejków i krwawych rzezi, z jakiemi ono jest połączone w Zachodniej Europie»!

czasach. Wyznawcy złotego cielca, pismacy wielbiący międzynarodowy kapitalizm, ludzie urągający pamięci krwawych walk narodowych, wszyscy rzucili się na młody nasz socyalizm w imię — „patryotyzmu“. Socyaliści gubią ojczyznę; socyaliści usiłują rozdwoić nieszczęśliwy nasz naród; socyaliści wyrzekli się Polski, bo stoją na gruncie międzynarodowym; socyaliści są przekupieni przez rząd moskiewski — takie i tym podobne ujadania rozległy się w całej prasie polskiej W imię „patryotyzmu“ grożono socyalistom denuncyacyami — i istotnie ich denuncyowano. I cała ta hołota „patryotyczna“ miała ze swego punktu widzenia racyę: wszak „patryotyzm“ ówczesny to była „praca organiczna“. A socyaliści rzeczywiście przeszkadzali tej „pracy“, rzeczywiście „sieli rozdwojenie“ między w zyskiwaczami a wyzyskiwanymi!

Waryński zagranicą.

Mówiąc o poglądach teoretycznych Ludwika, zatrzymywaliśmy się głównie nad ich słabemi stronami. Braki te najsilniej ujawniły się wtedy, gdy Waryński w ciągu 1880 i 1881 r. bawił w Genewie, zdala od placu boju, od kraju.

Na dzień 14 lipca 1881 roku warcholi anarchistyczni (głównie niemieccy) zwołali „kongres międzynarodowy“ do Londynu. Waryński, do pewnego stopnia ulegając wpływowi S. Dicksteina (Jana Młota, autora broszury „Kto z czego żyje?“), posłał z nim razem, lecz w imieniu całej redakcyi „Równości“ list z wyrazami współczucia dla tego kongresu. Oburzyło to innych członków redakcyi „Równości“. Oburzenie było tem słuszniejsze, że ów kongres anarchistyczny zwołano głównie na to, by zepsuć przygotowania do ogólno-socyalistycznego kongresu (który istotnie odbył się wkrótce potem w Chur w Szwajcaryi 2 października 1881 r.). Wskazywaliśmy na to, że z braku ściśle określonego programu partyjnego łatwo jest wpaść w brednie anarchistyczne (np. stawiając za cel partyjny zniesienie wszelkich rządów zamiast zaprowadzenia demokratycznej republiki). Dickstein był przez czas jakiś bliskim anarchizmu, a Waryńskiemu podobały się u anarchistów obietnice ostro-rewolucyjnej, krwawej walki. Powstało stąd chwilowe rozdwojenie w redakcyi „Równości“ i skutkiem tego „Równość“ przestała wychodzić. W cztery miesiące potem ukazał się „Przedświt“, założony przez towarzyszy przeciwnych wszelkiemu wdawaniu się z anarchistami. Waryński widocznie uznawał swą pomyłkę, bo nawet nie probował odpierać zarzutów redakcyi „Przedświtu“. To też między towarzyszami nastąpiła rychło zgoda, Waryński wstąpił do redakcyi „Przedświtu“ i jako delegat tej redakcyi (oraz „pięciu zorganizowanych kół z Księstwa Poznańskiego“ i „grupy robotników krakowskich“) brał udział w kongresie w Chur.

Ale gotowiśmy powiedzieć, że Ludwik widocznie nie miał szczęścia do kongresów międzynarodowych. Wystąpienie jego w Chur było nie mniejszym błędem, niż list na kongres londyński. W Chur stawiło się dwóch polskich delegatów: drugim był tow. B. Limanowski, który miał mandat od „Zorganizowanych Socyalistów Robotników w Galicyi“. Tow. B. Limanowski w swem przemówieniu oświadczył, że socyaliści

galicyjscy stoją na gruncie programu „Ludu Polskiego“ i żądają niepodległości Polski. Ludwik przeciwko temu zaprotestował. Roznamiętniony sporem, zaproponował on kongresowi uchwalenie rezolucyi przeciwko poglądom tow. B. Limanowskiego. Ale — widzieliśmy, że ówczesne zapatrywania Waryńskiego nietyle grzeszyły przeciwko dążeniu do niepodległości Polski, jak wogóle odznaczały się niejasnem pojmowaniem kwestyi politycznych. To samo widzimy i w zaproponowanej przez Ludwika rezolucyi, to też Limanowski — bez sprzeczności ze swymi poglądami mógł powiedzieć i powiedział: „rezolucya ta nie jest złą, jest ona dobrą, ale kongres nie powinien się mieszać w nasze sprawy wewnętrzne“. Istotnie kongres w Chur, na którym zresztą — oprócz dwóch polaków było zaledwie piętnastu delegatów innych narodowości, — nie miał żadnego dokładniejszego pojęcia o naszych stosunkach. Uchwalono więc ostatecznie rezolucyę zupełnie ogólnej treści, nie przeczącą poglądom ani jednego ani drugiego delegata polskiego. Waryński w tem zajściu tembardziej nie miał racyi, że właśnie w tym czasie „Lud Polski“, reprezentowany przez Limanowskiego, pozyskał sobie większość socyalistów polskich w Galicyi (i w zaborze rosyjskim). Wkrótce po kongresie w Chur krakowianie, którzy dali Waryńskiemu mandat, potępili jego postępowanie na kongresie. Jednak Ludwik na to potępienie bynajmniej nie zasłużył: nie wiedział bowiem o zmianie w poglądach krakowian. Gdyby go o niej poinformowano, to nie przyjąłby mandatu z Krakowa. Słusznie więc pisał, że można go oskarżać nie o nadużycie zaufania tych, co mu mandat dali, lecz chyba tylko o zbyt pochlebne zdanie co do stałości ich przekonań.

Jeszcze o jednem ważniejszem wystąpieniu Waryńskiego w czasie jego pobytu w Genewie należy nam nadmienić. Była to mowa do rosyan, wygłoszona na międzynarodowem zebraniu, zwołanem przez redakcyę „Równości“ w 50-ą rocznicę powstania listopadowego 1830 r. W mowie tej znajdujemy wszystkie słabe cechy poglądów Waryńskiego, o których już nieraz mówiliśmy. Wyobrażając sobie rewolucyę socyalistyczną pod postacią zniesienia wszystkich rządów, wszystkich państw, mówił: „Obojętne dla nas te lub owe granice państwa polskiego... ojczyzną naszą świat cały“.

Z większych artykułów, które Waryński napisał w Genewie, możemy wymienić: „Czy jest u nas kwestya robotnicza?“ w „Równości“ i życiorys Filipiny Płaskowickiej w „Przedświcie“.

Ale ani teoretykiem ani literatem wogóle Waryński z usposobienia nie był. Tam — daleko od Genewy — w kraju, wśród swojskich i ukochanych przezeń mas robotniczych było odpowiedniejsze dla niego miejsce. To też w ciągu 2 lat pobytu za granicą tęsknił on ciągle do właściwego pola walki, do pracy agitacyjnej i organizatorskiej, do Warszawy. „Dawny Ludwik, wesół, czynny, ożywiony, posmutniał, skwaśniał, zmarniał... Widać było, że człowiek ten cierpi, i to głęboko, że trawi go myśl, iż nie robi nic pożytecznego dla sprawy, której dotąd tak dzielnie służył. Już po roku pobytu w Genewie oświadczył on swoim bliższym, że dłużej w tem położeniu wytrwać nie może, że życie takie jest dla niego ciężarem, któremu nadal podo-

łać nie potrafi. W grudniu 1881 roku, żegnany serdecznie przez wszystkich kolegów, wyruszył z Genewy wprost do kraju".

Proletaryat.

Odtąd zaczyna się najświetniejszy okres w życiu Waryńskiego. Ale jest to zarazem okres najbardziej znany towarzyszom. Opisuje go książeczka „Z pola Walki". To też możemy przedstawić ten czas krócej, niż początki działalności Ludwika.

Minął dla Ludwika okres teoryi, zaczęła się znowu praca czynna. I tu okazało się, że charakter rewolucyjny, zapał do walki i zmysł praktyczny ważniejsze są w robocie partyjnej, niż najlepiej wyfilozofowane programy. Przytem zagranicą Ludwik poznał różnicę między wolniejszemi urządzeniami Zachodniej Europy, a ciemną nocą ucisku despotycznego, panującą pod caratem. Odtąd już nie omijał sprawy stosunku do rządu, przeciwnie walka z caratem, walka nieubłagana stała się hasłem jego działalności.

Ale na początku jego roboty w Warszawie, musiał on przedewszystkiem naprawić, co zepsuły niedawne nowe aresztowania i poprzednia robota zwolenników „Ludu Polskiego". Nawiązywał potargane nici organizacyi i tępił bałamuctwa nie rozumiejących walki klasowej „Ludowców". I w jednem i w drugiem wielką pomocą byli mu towarzysze-robotnicy, biorący udział w ruchu już od 1878 roku. Przedewszystkiem zaś z pośród nich dzielnym współpracownikiem Ludwika był mydlarz Henryk Dulęba.

Objawy rozpoczętej na nowo pod kierownictwem socyalistycznem walki robotników z kapitalistami – ukazały się rychło. Po zaburzeniach w warsztatach kolei warszawsko-wiedeńskiej w kwietniu 1882 r. ukazuje się odezwa (datowana w lipcu), wzywająca do dalszej walki. Odezwa ta wyraźnie podaje, czego mają domagać się robotnicy kolejowi; wskazuje, jak należy postępować przy stawianiu żądań, żeby wywrzeć jak największy nacisk na zarząd kolei i uniknąć ofiar; wreszcie ostrzega przed obłudnymi umizgami władz carskich do robotników.

Wkrótce potem widzimy już także rezultaty organizatorskiej pracy Ludwika. Zdołał on połączyć rozluźnione dotąd grupy i kółka i postawić na czele działalności socyalistycznej „Komitet Robotniczy". Komitet ten 15 sierpnia 1882 roku wydaje hektografowaną odezwę, która posłużyła za podstawę dla późniejszej programowej odezwy. Obiegała ona z rąk do rąk, i towarzysze zastanawiali się nad nią, rozprawiali i komunikowali swe uwagi Komitetowi. Dzięki temu, już 1 września Komitet mógł wydać odezwę drukowaną, zawierającą ostatecznie ustalony program partyi. Partya przybrała nazwę „Proletaryat", a program ów, ułożony głównie przez Waryńskiego, służył przez całe zgórą 10 lat istnienia partyi „Proletaryat".

Nad programem „Proletaryatu" nie potrzebujemy dłużej się rozwodzić. Prawie wszystkie wady programu „brukselskiego" są i w tym programie powtórzone. Ale jest on opracowany daleko dokładniej, a hasła walki klasowej z kapitalistami i zwłaszcza z rządem despotycznym są w nim postawione daleko dobitniej. Przytem napisany on

jest dzielnym, jędrnym, rewolucyjnym językiem, czego programowi „brukselskiemu“ brakowało.

Jednak ważniejsze od programu było samo zjawienie się Komitetu Robotniczego. Położyło to stanowczo kres dotychczasowemu działaniu każdej jednostki i każdego kółka na swoją rękę. Komitet zaczął kierować całą działalnością partyi zarówno ekonomiczną jak i polityczną. A z biegiem czasu, gdy wytworzono takie same Komitety w innych miastach (w Łodzi, Zgierzu, Tomaszowie, Białymstoku) latem 1883 roku Waryński zakłada zwierzchni dla całego kraju „Komitet Centralny“. Komitet Centralny wystąpił pierwszy raz z odezwą 15 czerwca 1883 roku.

Z rozwojem organizacyi wzrosła i ostrożność. W 1878 roku nazwisko Waryńskiego znane było każdemu, kto tylko był tego ciekaw. Teraz — żaden z szeregowców partyi — jak to wykazało się na śledztwie przed wielkim procesem 1885 roku — nazwiska Ludwika nie wiedział.

W końcu 1882 roku dla ostatecznego porozumienia się z dwoma grupami, które pozostały do tego czasu poza obrębem organizacyi partyjnej, Waryński urządza zjazd w Wilnie. Jedna z tych grup składała się z socyalistycznej inteligencyi warszawskiej. Ci ludzie, zajęci dotąd jedynie czytaniem książek, nie rozumieli roboty praktycznej. Mieli zato naturalnie dużo do wytknięcia Waryńskiemu — i może po prostu szukali dziur w caliznie, żeby pozostać na dotychczasowem wygodnem stanowisku widzów. Z nimi Waryński nie doszedł do ładu, chociaż zapewne niejeden z nich mógłby przynieść pożytek sprawie. Zato druga grupa — socyalistyczni studenci polscy z Petersburga — wstąpiła po zjeździe do „Proletaryatu“ i dała partyi cały szereg najlepszych bojowników. Nic dziwnego, że z nimi poszło łatwiej Waryńskiemu: im bowiem szło przedewszystkiem o robotę rewolucyjną, a w „Proletaryacie“ nie brakło dla niej pola.

Warto zaznaczyć jedno z przemówień Waryńskiego na zjeździe wileńskim. Był on zawsze w teoryi wielkim zwolennikiem ścisłego sojuszu z rewolucyonistami rosyjskimi. Przy powstawaniu ruchu u nas uważano za potrzebne nawet w programie (brukselskim) zaznaczyć żądanie „federacyjnych (to jest ściśle organizacyjnych) związków z socyalistami wszystkich innych krajów“. O takich związkach jednak ani wówczas ani dziś żadna z większych partyi socyalistycznych Europy nie myślała: każda miała dosyć roboty u siebie w domu. Waryński więc i jego towarzysze musieli rychło ograniczyć te dążenia do związków jedynie ze socyalistami rosyjskimi. Ale przy zetknięciu się z robotą w kraju Waryński zobaczył, że i to bynajmniej nie było najpilniejszem. Dowodził więc na zjeździe wileńskim, że zanim się zawrze sojusz z ówczesną partyą rosyjską „Narodnoj Woli“, należy wpierw dobrze rozkrzewić socyalizm u nas w kraju. I zamiast oddawać siły „Proletaryatu“ na rzecz ruchu rosyjskiego, przeciwnie — jak widzieliśmy — wciągnął do „Proletaryatu“ petersburskich socyalistów-polaków, zajętych do owego czasu sprawą rosyjską. Swoją drogą myśli

o „związku federacyjnym“ z rosyanami nie porzucił, jak to potem zobaczymy.

Po zjezdzie wileńskim robota Ludwika, robota „Proletaryatu“ szybko się rozwija. Odezwa Komitetu Robotniczego z 31 grudnia 1882 r. wzywa robotników do tworzenia ścisłych organizacyi w każdej fabryce i wybornie określa zadanie takich organizacyi. A d. 13 lutego 1883 r. ukazuje się sławna odezwa, wzywająca do oporu przeciwko rozporządzeniu oberpolicmajstra (o policyjno-lekarskiej rewizyi robotnic; patrz „Światło N^0 5 art. tow. Al. Dębskiego o Stanisławie Kunickim, str. 5). Odezwa, napisana przez Ludwika z prawdziwym ogniem oburzenia wołała: „Nie dopuśćcie do tego!... Odeprzyjcie napad, bodajby krwią ten protest opłacić wypadło. Śmierć lepsza od hańby“. Było to wystąpienie godne nieustraszonego bojownika za sprawę proletaryatu, i osiągnęło skutek. Ale przy tej sposobności wykazało się, że w organizacyi „Proletaryat“ byli także ludzie słabszego ducha. Ulękli się możliwych następstw śmiałej odezwy Ludwika i wystąpili z partyi, tworząc osobną grupę pod nazwą „Solidarność“. „Solidarność“ wydała również odezwę w sprawie robotnic, ale wzywała do zachowywania się „z godnością“. Jak gdyby „godność“ klasy robotniczej mogła polegać na spokojnem znoszeniu najgorszych obelg!

Zresztą oddzielenie się „solidarczyków“ od organizacyi „Proletaryat“ bynajmniej nie osłabiło działalności tej partyi. W tym bowiem czasie przybyła do Warszawy na pomoc Waryńskiemu gromadka towarzyszy z Petersburga i założono lepszą drukarnię tajną.

W kwietniu 1883 roku Waryński wyjeżdża do Paryża. Zawiązuje tam stałe stosunki z polską emigracyą socyalistyczną, powierzając jednemu ze swych byłych kolegów z „Równości“ i „Przedświtu“ przedstawicielstwo „Proletaryatu“ na zagranicę. Probuje także wytworzyć sojusz organizacyi „Proletaryat“ z rosyjskimi rewolucyonistami. Ale to mu się nie udało. Wśród paryskiej emigracyi rosyjskiej brakło ludzi, z którymi można byłoby dojść bodaj jako tako do ładu. Ruch rosyjski wówczas już osłabł, ale zato wielkich pretensyi — poprostu zaborczych popędów — było dużo. Oto jeden przykład. Waryński opowiadał o odezwach, wydanych przez studentów puławskich z powodu rozruchów w Instytucie Agronomicznym i nadmienił, że odezwy te były w dwóch językach: polskim i rosyjskim. Na to jedna z przedstawicielek ówczesnego Komitetu Wykonawczego „Narodnoj Woli“ wyraziła swe zdziwienie: „Pocóż co polsku? Wszak studenci wszyscy rozumieją po rosyjsku?“ Z ludźmi, tak pojmującymi sprawy, nie było co gadać.

Pomimo tego Ludwik, niczem nie zrażony — zaraz po powrocie do kraju — jedzie do Petersburga. Ale tam zastaje wśród rosyan jeszcze gorsze stosunki, niż w Paryżu. Niemal na czele ówczesnego ruchu rosyjskiego stał szpieg — Degajew. Waryński — jak naturalnie wszyscy towarzysze ówcześni — właściwej roli Degajewa nie znał i spotkał się z nim dla omówienia swych projektów. Skutkiem tego — i jedynym skutkiem petersburskich zabiegów Ludwika — było to, że pojechali za nim z Petersburga do Warszawy szpiedzy. Nazwiska jego

policya nie znała, ale dzięki spotkaniu z Degajewem wyśledzono warszawskie mieszkanie Ludwika. Jednak szpicle postąpili tak obcesowo, tak bezczelnie otaczali dom Waryńskiego, że zwrócili na siebie uwagę. Ludwik więc na ten raz zdołał wymknąć się szczęśliwie.

D. 15 września 1883 roku wyszedł pierwszy numer pierwszego socyalistycznego pisma w Warszawie. Pismo nosiło nazwę partyi „Proletaryat“. Waryńskiemu nie sądzono było zredagować więcej nad 2 numery tego pisma... Zbliżał się koniec jego działalności.

Robota w kraju — dzięki przybyszom z polskiej kolonii w Petersburgu — szła tak dobrze, że Ludwik pewnym był dalszego jej rozwoju. Widział, że ruch robotniczy stoi u nas już na silnych podstawach. Sądził, że organizacya polska może się bez niego obejść. A gorący jego charakter pchał go na najniebezpieczniejsze przedsięwzięcia. Oddawna bolał nad upadkiem ruchu rosyjskiego, i sądził, że caratowi można zadać najdotkliwszy cios w samem jego sercu — w Petersburgu. Nosił się więc z myślą wyjazdu do stolicy carów, a to celem urządzenia zamachu na Aleksandra III. Czy był to pomysł chwilowy, czy też stałe postanowienie, — nie wiemy. Do wykonania tych planów nie przyszło. D. 28 września 1883 roku Ludwik wpadł w ręce carskiej policyi.

Więzienie i śmierć.

Dnia tego miał się on spotkać w cukierni Kwiecińskiego przy ulicy Rymarskiej z rewolucyonistką rosyjską Szczelepnikową dla omówienia przeprawy jej „nielegalnie“ przez granicę. Po drodze wstąpił do dystrybucyi (sklepu tytoniu) tuż obok owej cukierni, a kupując papierosy, wyjął i zostawił przez zapomnienie na stole — paczkę świeżo wydrukowanej odbitki wierszu „Warszawianka“. Po chwili przypomniał to sobie, wrócił i paczkę odebrał. Ale przez ten czas właściciel sklepu zdążył paczkę rozwinąć, a widząc w niej zakazane druki, dał znać rewirowemu, który pośpieszył do cukierni celem aresztowania Waryńskiego. Ludwik chciał przedewszystkiem dać możność ucieczki Szczelepnikowej. Powalił więc rewirowego uderzeniem w twarz na ziemię i w zamieszaniu, które powstało, nietylko Szczelepnikowa zbiegła, lecz i Waryński zdołał wydostać się na ulicę. Tu chwycił go ktoś za palto, ale Ludwik palto zzuł szybko i biegł dalej. Policya dla pozyskania sobie pomocy publiczności zaczęła wołać: „łapaj złodzieja!“ Podstęp się udał: przytrzymano go ostatecznie na Senatorskiej. Ale w ciągu ucieczki Ludwik zdążył poniszczyć ważniejsze papiery, które miał przy sobie.

Wrota więzienne zamknęły się za Waryńskim na zawsze. Odciętego od świata przez $2^1/_4$ roku śledztwa z rzadka tylko dochodzić mogły odgłosy ruchu robotniczego z tak blizkiej a jednak zarazem tak oddalonej Warszawy. Że walka nie ustała, że szeregi „Proletaryatu“ stoją wciąż pod bronią, o tem dowiadywał się tylko od coraz to nowych ofiar, pochłanianych przez Dziesiąty Pawilon Warszawskiej Cytadeli. Jakie uczucia musiały nim miotać, gdy w głuchej nocy bezsennej słyszał raptowny łomot ciężkich nóg żandarmskich

brzęk ostróg, zgrzyt otwieranych i szybko zamykanych zamków... Znów kogoś przywieźli! A noc 10 lipca 1884 roku — w rok prawie po uwięzieniu Ludwika — pamiętna noc aresztowania Kunickiego i Bardowskiego, gdy hałas nie ustawał na korytarzach do rana, gdy Dziesiąty Pawilon zapełnił się odrazu po brzegi... Noc fatalna dla stworzonej i ukochanej przez Ludwika organizacyi „Proletaryat“, — najlepsze siły partyi jednym zamachem brutalnej łapy siepaczy carskich wytrącone z szeregów.

Ale rozpaczać nie było potrzeby. Gdy w grudniu 1885 roku Waryński na czele 28 współoskarżonych stawał przed sądem wojennym, aresztowania w Warszawie nie ustawały. Bolesne to było, ale bądź co bądź świadczyło, że zgórą 2 lata ciągłych klęsk ruchu nie zatamowały. Zresztą już przy indagacyach rozwścieczony prokurator wykrzyknął do Waryńskiego: „Zasieliście ziarno, którego nawet zębami nie sposób wygryść!“

Na sądzie wojennym Waryński, tak samo jak w Krakowie, był rzecznikiem swych towarzyszy. W prawdziwie mistrzowskiej przeszło godzinnej mowie wykładał program partyi. A chociaż zamachy na szpiegów i umowa z „Narodną Wolą“ — fakty, które wobec sądu najbardziej obciążały „proletaryatczyków“ — zaszły już po aresztowaniu Waryńskiego, Ludwik jednak oświadczył bez wahania, że się z całą działalnością partyi solidaryzuje. Żądał dla siebie odpowiedzialności za wszystko. Skazano go na 16 lat ciężkich robót. Ale na Sybir go nie wywieziono. To „szczęście“ spotkało towarzyszy, dla których sąd był łagodniej usposobiony. Ludwika, jako szczególnie niebezpiecznego, przywieziono 1 marca 1886 roku do okropnej twierdzy Szlyselburskiej. W tym najstraszniejszym z grobów, do których carat zamyka buntowników, Waryński spędził resztę życia.

W Szlyselburgu zachowywał się spokojnie. Z władzami unikał starć, w których więzień zawsze jest bezsilnym, — ale też o nic nie prosił. Ta harda, nieugięta postawa jego wystarczała, by drażnić władzę; to też mimo najspokojniejszego postępowania, szykan mu nie szczędzono.

Do ostatniego tchu Ludwik zajmował się myślami o ukochanej sprawie robotniczej. Ale życia nie dużo mu zostawało. Organizm miał coprawda silny, lecz cytadela warszawska zdrowie jego zrujnowała. Już po dziewięciu miesiącach pobytu w Szlyselburgu zachorował na szkorbut, potem przyszły: astma, bóle zębów, migrena, neuralgia oka. Wzrok jego osłabł. Wreszcie zapadł na suchoty płuc. Od końca stycznia 1889 r. już nie opuszczał łóżka, a w lutym zmarł.

Dwa i pół roku upłynęło, zanim z murów szlyselburskich doszła do towarzyszy głucha wieść o śmierci Ludwika i przejęła żałobą serca całego świadomego proletaryatu polskiego. Ale wieści tej długo nie chciano wierzyć, zaprzeczano jej jeszcze w sześć lat po śmierci Waryńskiego.

Z dwudziestu trzech lat istnienia ruchu naszego pierwsze dziesięć lat złączone są nierozerwalnie z imieniem Waryńskiego. Był on „duszą Proletaryatu“, „jenerałem“ — jak go nazywali koledzy. A orga-

nizacya „Proletaryat“, przez niego założona, przetrwała dziesięć lat i przez cały ten czas działała w duchu Ludwika.

W opowiadaniu naszem rozwodziliśmy się długo nad błędami w poglądach Ludwika. Ale były to błędy wspólne mu z całem jego pokoleniem. Waryński może najjaskrawiej je wyrażał, bo — jak w praktyce, tak w teoryi partyjnej – nie wahał się nigdy stanąć w pierwszym szeregu i nie cofał się przed żadnym wynikiem swych przekonań. W praktyce zaś pozostawił on zarówno „Proletaryatowi“ jak dzisiejszej Polskiej Partyi Socyalistycznej nieocenioną spuściznę: walkę z uciskiem i z wyzyskiem, z caratem i z kapitalistami, walkę o lepsze warunki na dziś i walkę, zmierzającą ku doszczętnemu zgładzeniu wszystkich krzywd dzisiejszych, ku zupełnemu zwycięstwu polskiej klasy robotniczej.

B. A. J.



SOLIDARNOŚĆ A WALKA O BYT

I

Katechizmy i księża na kazaniach powiadają nam, że Bóg stworzył świat z niczego w ciągu dni sześciu; że stworzył odrazu w ciągu tego tak krótkiego czasu wszelkie rodzaje płazów, ptaków i zwierząt, które żyły sobie w jak najpiękniejszej zgodzie i spacerowały w cudownym ogrodzie, zwanym rajem. W raju tym, dla niego przygotowanym, pewnego pięknego poranku obudził się stworzony także przez Boga człowiek i bez żadnej walki ani pracy korzystał ze wszystkich pięknych rzeczy, które go otaczały, i żył szczęśliwie wraz ze swoją Ewą, aż dopóki nie zgrzeszył przez to, że „zapragnął owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego“.

Co ma znaczyć ten „owoc z drzewa wiadomości złego i dobrego“? Czyż chodzi tu rzeczywiście o to, że rosło drzewo, na niem smaczne jabłka, i tych jabłek nie wolno było zrywać Adamowi i Ewie, aż ich wąż-dyabeł do tego skusił? Nie: — księża tłomaczą, że to ma znaczyć, iż Bóg sam dał pierwszym ludziom wszystko, co im było potrzeba, i zakazał im być ciekawymi, zakazał szukać wiadomości i nowych dóbr na własną rękę, zakazał rozmyślać i dowiadywać się, skąd i jakim sposobem wzięło się na świecie to, co ich otacza, skąd wzięło się zło i dobro, co jest prawdziwem dobrem i prawdziwem złem. Gdyby byli nigdy o tem nie myśleli, a ślepo wierzyli Bogu, to nie byliby utracili rajskiego szczęścia. Do czego prowadzą takie opowiadania księży? A oto do czego: Ponieważ dziś już sam Pan Bóg nie chce rozmawiać z nikim, jak podobno rozmawiał z Adamem i Ewą, tylko w jego imieniu przemawiają do ludzi księża (przynajmniej tak oni twierdzą), więc jeżeli człowiek chce być szczęśliwy i zbawiony, to powinien ślepo wierzyć księżom, nigdy ich nie krytykować, nie zastanawiać się swoim własnym umysłem nad tem, co się koło niego dzieje, chodzić, jak wół,

w tem jarzmie, które na niego jest włożone, ale nigdy nie walczyć, nie dążyć do lepszego bytu, bo jeśli Pan Bóg zechce, to mu ten lepszy byt da bez żadnej walki, tak jak dał raj Adamowi, a jeśli nie da nic lepszego tu na ziemi, to da różne piękne rzeczy po śmierci; a jeśli człowiek zacznie myśleć, dochodzić własnym rozumem, co jest złe, a co dobre i skąd się co wzięło, to zgrzeszy, tak jak Adam, i będzie nazawsze wypędzony z raju.

Rozumie się, że takie opowiadania są bardzo korzystne dla księży i dla bogaczy i panujących, którym oni zawsze służą: dlatego usilnie starają się, aby robotnicy w nie wierzyli i nie zaczęli myśleć samodzielnie. Ale uczeni już dawno wykazali niezbicie, że wszystko to są bajki takie, jakie się opowiada dzieciom w kołysce, aby były grzeczne. Żadnego raju nigdy nie było na świecie i świat powstał nie w ciągu dni sześciu, ale w ciągu całych milionów i miliardów lat. Świat istniał zawsze, bo z niczego nic powstać nie może, najdrobniejszy pyłek zawsze pochodzi z czegoś, wziął się skądś; gdyby kiedyś było nic, to i nazawsze nic by pozostało. Tylko świat nie zawsze był takim, jakim jest obecnie. Przeciwnie, świat się zmienia, przekształca w każdej chwili, bez ustanku. Świat jest bezgraniczny; nasza ziemia wraz z całym naszym systemem słonecznym, do którego należy, jest wobec wszechświata nieskończenie drobnym pyłkiem; te niezliczone gwiazdy, które widzimy w nocy, to wszystko są słońca i ziemie (planety), oddzielone od nas i od siebie miliardami mil. Lecz ani owe słońca, ani nasza ziemia, nie stały się odrazu, za skinieniem jakiejś różczki czarodziejskiej, lecz stawały się powoli, stopniowo, przechodząc przez cały nieskończony szereg przemian. Nauka wychodzi z tego przypuszczenia, że przed miliardami miliardów lat była wszędzie m g ł a w i c a tylko, czyli gazy rozpalone, unoszące się w przestrzeni. Powoli, powoli, gazy te ochładzały się i zamieniały na płyny, tworząc kule, obracające się jakby naokoło osi. (Są książki, opowiadające o tem wszystkiem obszernie i dokładnie; my tu tylko naprędce i w ogólnych zarysach o tem wspominamy, bo chcemy prędzej dojść do tego, o czem właściwie mówić będziemy). Taką olbrzymią kulą roztopionych, rozżarzonych metali i innych ciał fizycznych jest dzisiaj słońce, a kiedyś, kiedyś była i ziemia. Ochładzając się w dalszym ciągu, kula ziemska stała się twardą; lecz nie było na niej z początku żadnego życia, żadnych roślin ani zwierząt. I one zaczęły się zjawiać wreszcie; ale nie zjawiły się wszystkie odrazu, ani też nie zjawiły się odrazu takiemi, jakiemi są teraz.

Prawdopodobnie był czas, przed milionami wieków, kiedy na ziemi nie było jeszcze żadnych istot żywych, oprócz niewielkich żyjątek, pozbawionych wszelkich organów ciała: nóg, rąk, głowy, oczów, uszów, żołądka, kiszek, płuc i t. d., a przedstawiających poprostu jakby pochewkę, wciągającą w siebie żywność i przesuwającą się z miejsca na miejsce przez wydłużanie się i ściąganie, a rozmnażającą się przez rozdzielanie się na wielką ilość takich samych części. Istoty te pod wieloma względami podobne są do k o m ó r e k, czyli cząsteczek, z których składa się ciało człowieka i wogóle

wszystkich zwierząt. Jak pierwotne komórki łączą się z sobą, a raczej — jak przy rozmnażaniu się, czyli rozdzielaniu jednej komórki powstające stąd coraz liczniejsze komórki nie rozłączają się, ale zostają razem, układają się, stają się różnorodnemi, wytwarzają stopniowo różne organy rosnącej istoty żywej, to tłómaczy nauka, zwana embryologią porównawczą, czyli nauka o rozwoju rozmaitych zarodków zwierzęcych. Natomiast: jak powstawały z pierwotnych istot w ciągu niezmiernie długich wieków najrozmaitsze zwierzęta, tego dokładnie jeszcze nauka powiedzieć nie może. Nauka nie postępuje tak, jak religia. Religia opiera się na ciemnocie, która przyjmuje bez zastanowienia się wszystko, co jej się do wierzenia podaje; dlatego religia ma odrazu objaśnienie na wszystko, ale też objaśnienia te są takie, jak to naprzykład, że pierwsza kobieta została zrobiona z żebra pierwszego mężczyzny. Nauka nie może jeszcze objaśnić, dlaczego jedna istota staje się istotą płci męskiej, a druga — żeńskiej, ale też nie opowiada bajek, tylko wprost przyznaje, że ta kwestya, jak i wiele innych, nie jest jeszcze wyjaśniona. Dlaczego? Dlatego, że zagadnień nasuwa się nauce nieskończone mnóstwo, a tymczasem ludzi, oddających się nauce, jest jeszcze ogromnie mało, bo przeszkadza temu ciemnota i nędza i zły ustrój społeczny, zaprzęgający miliony ludzi, mogących myśleć i pracować dla nauki, do całodziennej ciężkiej, ogłupiającej pracy fizycznej. W każdym jednak razie nauka może twierdzić, że najrozmaitsze rodzaje istot żyjących powstawały stopniowo, że stopniowo i bardzo rozmaicie tworzyły się ich organy, że organy te ulegały różnym zmianom, znikały, przyjmowały różne nowe kształty, wszystko zależnie od tego, w jakich warunkach, w jakiem środowisku przychodziło żyć tym istotom. Inne organy wytworzyły się u istot, żyjących w wodzie: np. pletwy; inne — u żyjących na lądzie: nogi i ręce, i te — inne u małp np., łażących po drzewach, inne — u czworonogich chodzących po ziemi; wreszcie — ptaki, fruwające po powietrzu, zamiast pletw i rąk muszą mieć skrzydła. Znaczy to, że każda istota żywa musi w organach swych, w całym swym organizmie, być przystosowana do warunków swego bytu. Warunki bytu różnych istot nieraz się zmieniały, bo ziemia nasza przechodziła w ciągu milionów wieków najrozmaitsze zmiany, to pokryta lodowcami, to wodą, to gorąca, to ochładzająca się, to obsychająca. Mnóstwo też istot, które nie mogły dość szybko zmienić swych organów, przystosować się do nowych warunków, poginęło zupełnie i dziś odnajduje się tylko ich szkielety, lub też nie zostawiły one żadnych śladów po sobie. Inne zmieniały się, przystosowywały, i dlatego mogły wyżyć. Biologia, czyli ogólna nauka o istotach żywych, przytacza takich przykładów mnóstwo.

Że kształty zwierząt, ich organy nie są niezmienne, tego najlepszym dowodem jest hodowla. Gospodarz np., hodujący owce, chce mieć rasę taką, żeby miała dużo wełny, a krótkie nogi, tak aby owce nie mogły przeskakiwać przez płoty. Co robi? Dobiera owce z najkrótszemi nogami, a najdłuższą wełną, i parzy je wyłącznie jedne z drugiemi. Rodzice przez dziedziczność przekazują te cechy

swemu potomstwu, coraz mniej rodzi się z nich owiec z długiemi nogami i krótką wełną, i te znowu są usuwane od rozmnażania się, aż wreszcie wytwarza się rasa pożądana. Hodowca robi ten dobór sztuczny w pewnym, z góry określonym kierunku. Ale i w naturze, pod wpływem zmiany warunków bytu, odbywają się i odbywały takie dobory. Oto np. wszędzie chrabąszcze mają skrzydła i latają po powietrzu, ale na wyspie Maderze chrabąszcze prawie wszystkie mają skrzydła przyrośnięte do tułowiu i latać nie mogą. Czemu? Nic nie pochodzi w naturze z przypadku, wszystko ma swoją przyczynę. Tu przyczyna polega na tem, że na Maderze wieją tak silne wichry, że który chrabąszcz wzniesie się w powietrze, tego wicher zwiewa do morza — i ginie marnie. Potrochu więc musiały ginąć wszystkie chrabąszcze, rozwijające swe skrzydła; te, co ich nie rozwijały, a więc którym one stopniowo przyrastały, trzymały się mocno ziemi i przeżywały, ale parzyły się już coraz wyłączniej tylko między sobą i przekazywały potomstwu przyrośnięte skrzydła. Tak więc dobór naturalny usunął chrabąszcze latające, które były źle przystosowane do nowych warunków bytu — silnych wichrów; a pozwolił przeżyć tylko lepiej przystosowanym. To przeżywanie lepiej przystosowanych w skutek doboru naturalnego i dziedziczności odbywa się w całej naturze i każdy teraz żyjący rodzaj zwierzęcy albo roślinny jest wynikiem długiego szeregu takich przystosowywań się do warunków bytu.

Dotychczas mówiliśmy tylko o warunkach bytu, stawianych istotom żywym przez samą naturę, przez odbywające się w niej przemiany. Ale i istoty żywe stawiają jedne drugim warunki bytu, i to bardzo ciężkie. Istoty żywe żyją jedne z drugich, jedne kosztem drugich; pożerają się nawzajem lub co najmniej walczą jedne z drugiemi o pożywienie, gdy go jest zamało. I do tej walki o byt musiały się więc wszystkie przystosowywać, a te, które się przystosować najlepiej nie mogły, ginęły; dobór naturalny pozostawiał przy życiu i pozwalał nadal się rozmnażać tylko najlepiej przystosowanym. Konie dzikie pierwotne, które były za ciężkie i miały kopyto zbyt miękkie, aby szybko umykać przed drapieżnikami, musiały wyginąć; przeżywały tylko konie lżejsze i z kopytami twardszemi, a w potomstwie ich cechy te występowały coraz w większym stopniu. Tak samo po długich wiekach walk i morderstw wzajemnych, po długich wiekach wymierania gorzej przystosowanych, pozostały tylko lwy i tygrysy najsilniejsze, z najostrzejszemi i najłatwiej wysuwającemi się szponami i najlepiej skaczące, kozy i zające najchybsze, psy z najlepszym węchem, rysie najdalej widzące, orły z najtwardszymi dziobami, i tak dalej, itd. itd. — w całem nieprzeliczonem królestwie zwierząt i roślin.

Taka jest teorya zmienności istot żywych, walki o byt i przeżywania najlepiej przystosowanych w nauce o przyrodzie. Teoryę tę obmyślili po długich badaniach dwaj wielcy uczeni: francuz Lamarck i anglik Karol Darwin. Położyli oni tem dla ludzkości olbrzymią zasługę, albowiem dowiedli, że świat nie wyszedł całkiem gotowy i niezmienny z rąk stwórcy, lecz zmieniał się i rozwijał nieustannie, i że nie było nigdy raju na ziemi, tylko zawsze ciężka i twarda walka.

I człowiek nie w raju się urodził, nie w cudownym i we wszystko obfitującym ogrodzie, nie wśród łagodnie liżących jego ręce zwierząt kazał mu żyć dobry i troskliwy Bóg - ojciec. Nie: kiedy zjawili się na ziemi pierwsi ludzie, żyjący na drzewach, jak małpy, żywiący się surowymi owocami, później — chroniący się w jaskiniach i czatujący na zdobycz, to otaczały ich zewsząd najstraszliwsze niebezpieczeństwa, to trzeba było od jednych zwierząt kryć się i bronić zacięcie, inne ścigać i napastować, walczyć o byt bez ustanku. W tej walce o byt dokonywał się dobór naturalny. Człowiek, słabszy i mniejszy ciałem od wielu zwierząt, musiał — jeśli chciał żyć — wyćwiczyć w niej swój umysł. Słabsi, mniej zręczni, mniej pomysłowi, mniej wytrwali i energiczni — ginęli. Rodzaj ludzki doskonalił się i wydoskonalił tylko w walce. Czego człowiek własną pracą, potem, krwią, ofiarami nie wywalczył, to mu z pewnością z nieba nie spadło; za wszystko, co dziś posiada, drogo zapłacił; i gdyby, zamiast walczyć ze wszystkich sił, oglądał się był na pomoc nadprzyrodzoną lub spokojnie, bezwładnie spuszczał na tak zwaną wolę boską, to by go już dawno na świecie nie było.

II

Ale walka o byt, wiemy o tem doskonale, istnieje nietylko w całej naturze, lecz i w społeczeństwie ludzkiem. Ludzie walczą o byt nietylko z naturą, ze zwierzętami, ale i między sobą, jedni z drugimi. Każdy chciałby mieć byt jak najlepszy, więc się wypycha naprzód przed innymi, a innych odpycha. Konkurują między sobą przemysłowcy; ci, co mają mniejszy kapitał, co nie mogą szybko wprowadzić nowych maszyn, wyrabiać tanio, jednem słowem, przystosować się do potrzeb społecznych, tracą majątek i dzieci ich, albo już oni sami, zostają robotnikami najemnymi. Tak samo panowie w poprzednich wiekach walczyli z chłopami o ziemię, a że byli silniejsi, więc im ją odebrali i chłopi zeszli też na najemników. Najemnicy walczą z kapitalistami o lepszy byt, a kapitaliści zwyciężają ich, obdzierają ich z owoców ich pracy, wpychają w nędzę, w choroby, skracają życie, spychają na ich barki najcięższe podatki, służbę wojskową, jednem słowem — najcięższe ciężary życia. Ale wyzyskiwani i uciskani zaczynają dopominać się o swoje prawa i żądać, aby społeczeństwo ulżyło ich losowi, ochroniło ich od nędzy i przyśpieszonej śmierci. Żądają równości społecznej.

Na to występują — także uczeni, którzy powołują się na teoryę Darwina i odpowiadają tak:

W całym świecie, w całej naturze niema równości, więc nie może jej być i w społeczeństwie ludzkiem. Gdyby była równość, gdyby nie musieli ludzie walczyć o byt, to nikt by nie starał się doskonalić swoje zdolności, swoją energię, nie byłoby żadnego postępu. Dzięki walce o byt wytworzyły się w naturze istoty tak silne i odważne, jak lwy i tygrysy, tak zmyślne i mądre, jak słonie, bobry, mrówki, małpy. Co nie umiało walczyć o byt, co było gorsze i słabsze, to wyginęło: — to i lepiej, zostało miejsce dla udoskonalonych i sil-

nych. Tak i w społeczeństwie: — cóż z tego, że nędzarze chorują, cierpią, pracują, umierają przedwcześnie? Skoro są zwyciężeni w walce o byt, to widocznie byli słabsi i gorsi, niech więc giną: zostawiają wolne miejsce dla lepszych od siebie. Społeczeństwo wcale nie powinno im pomagać, bo gdyby im nie pomagało, to prędzej zostaliby w społeczeństwie sami tylko ludzie najzdolniejsi, żeniliby się tylko między sobą i rodzaj ludzki coraz by się udoskonalał, gdy tymczasem pomagając biednym, społeczeństwo tylko zachęca ich do tego, żeby się opuszczali w walce o byt i nie dbali o udoskonalenie samych siebie.

Tak to rozumują dwaj wielcy uczeni burżuazyjni, którzy podają się za uczniów Darwina — niemiec Haeckel i anglik Spencer, a za nimi wielu innych podrzędniejszych pisarzy, służących interesom burżuazyi. Odrazu widać, że rozumowanie to jest nieludzkie; to też nieraz ludzie nierozgarnięci albo obłudni, służący znowu interesom księży, wskazują na nie, jako na skutek nauki, na dowód jej szkodliwości dla dobra społeczeństwa. Ale takie twierdzenie jest niesłuszne; nauka tutaj nic nie winna. Łatwo bowiem dowieść, że to właśnie Haeckel, Spencer i ich poplecznicy są w najzupełniejszej niezgodzie z nauką prawdziwą, z prawdziwą teoryą Darwina, z której właściwie wyprowadzić się powinno wprost przeciwne wnioski.

Przedewszystkiem zwróćmy uwagę na to, że poprostu przekręcają oni teoryę Darwina. Jeżeli walka o byt ma być rzeczą dobrą, to dlatego, że wynikający z niej dobór naturalny usuwa jednostki gorsze, a zostawia lepsze, w skutek czego cały rodzaj się ulepsza. Tak też rozumują burżuazyjni darwiniści: na to aby zwyciężyć w walce konkurencyjnej, trzeba większej przedsiębiorczości, energii, wytrwałości itd. — więc ci, co zwyciężają — wzbogaceni — są lepsi od zwyciężonych — biedaków. Otóż to jest przekręcenie: bo teorya Darwina wcale nie mówi, że w walce o byt i doborze naturalnym przeżywają lepsi, doskonalsi, a tylko lepiej przystosowani do warunków bytu. Nieraz, gdy warunki bytu zmieniają się na gorsze, organizmy doskonalsze, wyżej rozwinięte muszą wymierać, a mniej doskonałe, niższe, nędzniejsze — mogą przetrwać: w okolicach np., które niegdyś były gorące, a później się ochłodziły, wszystkie rośliny i wiele zwierząt piękniejszych, silniejszych, większych poznikać musiało, a marne mchy, drobne zające — wytrwały właśnie dlatego, że bardzo mało mają potrzeb życiowych. Ryby w wodach, oświetlonych słońcem — mają oczy; ale są w niektórych krajach (np. w Styryi) jeziora w pieczarach, do których światło dzienne nie dochodzi: w tych ryby utraciły zupełnie wzrok. Oczywiście, przystosowały się do nowych warunków bytu, w których wzrok jest im zupełnie niepotrzebny, ale czy się udoskonaliły? przeciwnie — stały się mniej doskonałemi, mniej rozwiniętemi.

Tak się dzieje nieraz w walce o byt i w naturze i w ludzkości. Tak się dzieje właśnie — jak to zaraz zobaczymy — w społeczeństwie, w którem panuje nierówność między ludźmi. Trzeba tę rzecz rozpatrywać pod względem moralnym i pod względem fizycznym. Zobaczmy, czy dzięki walce o byt w społeczeństwie przeżywają lepsi, to znaczy — pod względem moralnym i umysłowym: zdolniejsi, wykształceńsi,

dzielniejsi, szlachetniejsi; pod względem fizycznym — silniejsi, zdrowsi, piękniejsi.

Otóż dzieje się zupełnie przeciwnie. Weźmy z jednej strony — nędzarzy, wyzyskiwanych. Prawda, że czasem, chociaż rzadko, człowiek, urodzony w biedzie, może zbogacić się, zwyciężyć w walce o byt — jeśli jest wytrwały i energiczny, ale jednocześnie musi być przebiegłym, chytrym, skąpym, chciwym, samolubem, a nie może być dobrym dla bliźnich, szlachetnym, nie może kochać wiedzę i sztuki piękne, bo to wszystko przeszkadza mu w karyerze, w walce o byt. Więc p r z y s t o s o w a n i e idzie tu w tym kierunku, że nie pozwala rozwinąć się dobrym cechom charakteru, a rozwija — złe. A gdy człowiek jest w nędzy, gdy mu trzeba drżeć przed zwierzchnikiem i pracodawcą, kłaniać się o zarobek — to czyż nie wyzbywa się lepszych cech swojego ducha? Człowiek prawdziwie doskonały, wysoko rozwinięty, odważny, nieugięty, mówiący prawdę w oczy — nieraz ginie w tych warunkach; zostają ci, co się p r z y s t o s o w a l i — ale właśnie d o z ł e g o: maszyny ludzkie bez charakteru, słabi i ulegli. Gorzej: nędza, trudności walki o byt doprowadzają do tego, że ludzie stają się złodziejami, kłamcami, zbrodniarzami: bo takim żyć najdogodniej.

Weźmy z drugiej strony — bogaczy. Oni są zwycięzcami w walce o byt, więc mają być najlepsi z ludzi. Zapewne, że na to, aby z biednych stać się bogatymi, trzeba było ludziom wiele energii, zabiegliwości, wytrwałości — to są zalety, choć, jakeśmy wyżej powiedzieli, trzeba i wad do tego: chciwości, sobkostwa, bezwzględności względem bliźnich. Ale ci, co się już rodzą bogatymi, — ci nie potrzebują właśnie wcale walczyć o byt, ci stają się poprostu p a s o ż y t a m i, żyjącymi bez żadnego wysiłku kosztem innych. A w całej naturze właśnie tak się dzieje, że istota, która staje się pasożytem na ciele innej istoty, przystosowując się do tych wygodnych warunków bytu, traci wszystkie wyższe cechy i organy, staje się niższą, marniejszą. Bo i po co pasożytowi siła, dzielność, przedsiębiorczość, zdolność myślenia? Tak samo dzieje się i z bogaczami. Coraz mniej jest między nimi śmiałych, wytrwałych i myślących; coraz więcej — cherlaków umysłowych, moralnych i fizycznych. Utrzymują się oni przy swoich wyższych stanowiskach już wcale nie dzięki swoim zaletom pod żadnym względem; chociaż nędzniejsi i słabsi, zwyciężają lepszych w każdym względzie — bo mają przewagę s z t u c z n ą: pieniądz nagromadzony i odziedziczony, a przez policyę i prawo broniony.

Jeżeli zastanowimy się nad działaniem w społeczeństwie dzisiejszem doboru naturalnego pod względem fizycznym, to dojdziemy do takich samych rezultatów. Bogaci — marnieją w skutek braku wszelkiej pracy i różnych nadużyć. Biedni — albo w skutek tego, że przygotowując się do walki o byt, muszą zbyt ciężko pracować umysłowo w latach dziecinnych i młodzieńczych, albo w skutek tego, że zbyt długo pracują, że zbyt wcześnie w dzieciństwie zaczynają pracować, że źle jedzą i za mało jedzą przez całe życie, że mieszkają w niezdrowych norach, itd. itd. Pod tym względem nawet działanie teraźniej-

szego ustroju jest najstraszniejsze. Wszystko się w nim tak składa, że ludzie stają się coraz słabsi i mniej zdrowi i piękni. Bo gdzież może być siła, zdrowie i piękność, gdy w klasach pracujących matki pracują zbyt ciężko i nie mogą dzieci dobrze wykarmić ani wychować, a ojcowie z nędzy się zapijają? A młodzi i zdrowi mężczyzni, w czasie kiedy mogliby się żenić i mieć zdrowe potomstwo, brani są do wojska, tam mają do czynienia z prostytutkami i wracają — z chorobami wenerycznemi. A i w klasach posiadających nie lepiej się dzieje, bo dziś właśnie w skutek walki o byt mało kto żeni się lub wychodzi za mąż z miłości, tylko — choćby z osobą chorą, garbatą, kaleką, byle bogatą albo mogącą zapewnić protekcyę i karyerę; więc jakże z tego nie mają być nędzne dzieci? Trzeba jeszcze i na to zwrócić bwagę, że w naturze istoty słabsze w walce o byt, nie umiejące zdobywać sobie pokarmu albo bronić się albo uciekać przed wrogiem, w większości wypadków albo rzeczywiście giną z głodu albo bywają pożerane przez inne, jednem słowem — nie rozmnażają się; tymczasem w społeczeństwie, choć wiele ludzi umiera od złych warunków życia, nędzy i zbyt ciężkiej pracy, ale to im nie przeszkadza rozmnażać się, póki żyją, i właśnie nieraz najsłabsi, najbardziej chorowici, zostawiają po sobie najwięcej takiego samego potomstwa, które później zapełnia szpitale, więzienia i domy waryatów. Jeszcze zaś ani Haecklowi, ani żadnemu innemu niby darwiniście, w służbie burżuazyi pozostającemu, nie przyszło do głowy, aby takim odebrać możność płodzenia dzieci, bo czują, że to jest niemożliwe i że trzebaby zacząć od bogatych zdechlaków-hulaków...

Widzimy więc, że w skutek walki o byt i nierówności odbywa się w ludzkości taki d o b ó r, że tak pod względem fizycznym, jak moralnym i umysłowym nie udoskonala się ona, a przeciwnie — pogarsza.

A jednak — od początków swego istnienia na świecie ludzie, ciężko walcząc o byt swój, robili ciągłe postępy, stawali się coraz zręczniejsi, mądrzejsi, silniejsi, coraz lepiej urządzali sobie życie! Dlaczego? Nie dla innej przyczyny, tylko przez s o l i d a r n o ś ć.

Już i niektóre zwierzęta znają i praktykują solidarność, pomoc wzajemną w walce o byt. Nie mówimy nawet o takich mrówkach, pszczołach, bobrach, których praca i sposób życia wzbudzają podziw ludzki, ale i inne zwierzęta łączą się w stada, w stowarzyszenia, w społeczeństwa dla wzajemnej pomocy. Wiadomo, że ptaki w locie nie pozwalają opaść słabszemu, lecz podtrzymują go; małpy, choć trwożliwe, bronią nieraz stadami całemi słabsze i młodsze od napaści nieprzyjaciół; konie kupami bronią się od wilków. Pewien filozof, czarno życie widzący, powiedział, że człowiek człowiekowi jest wilkiem. Ale gdyby człowiek nie znał solidarności, to by gorszy był od wilka, bo i wilki chodzą stadami i pomagają sobie wzajem. Wogóle, zwierzęta walczą o byt z innemi zwierzętami, ale mało jest takich zwierząt, które by się m i ę d z y s o b ą niszczyły i pożerały. I tu jest drugi wielki fałsz i błąd tych uczonych burżuazyjnych, którzy chcieliby, żeby ludzkość

nie opiekowała się wcale swoimi - własnymi członkami, słabszymi w walce o byt.

Ludzie od samego początku i zawsze byli daleko słabsi fizycznie od bardzo wielu zwierząt i byliby napewno im się nie mogli oprzeć, gdyby nie to, że mając większy rozum, potrafili połączyć się w społeczeństwa i zaprowadzić solidarność między sobą. Przez to, że znieśli walkę o byt między sobą, a zaprowadzili wzajemną pomoc, ludzie zyskali ogromną siłę do walki o byt z innemi istotami, do wydobywania z natury wszystkiego, co potrzebne do coraz lepszego życia. W pierwszych społeczeństwach nie było między ludźmi żadnej walki: wszystko bowiem było własnością wspólną i wszyscy byli równi. Tylko dzięki temu ludzie zapanowali nad zwierzętami, mogli je zabijać na polowaniach, później — je przyswoić, ziemię zacząć uprawiać, domy budować. Później już zaczęły się nierówności i walki wewnętrzne. I niejeden naród w walce z innymi narodami przekonał się, że walka o byt wewnętrzna między własnymi członkami czyni go słabszym i na łup wydaje. A dlaczegóż upadła Polska, jeśli nie dlatego, że szlachta, żyjąc jak pasożyt, straciła nawet dawne swoje wojenne zalety i, zamiast bronić ojczyzny, umiała tylko pić i brać od nieprzyjaciół pieniądze, a lud, będąc wyzyskiwanym i ciemnym, nie mógł czuć wcale potrzeby obrony ojczyzny? Dlaczegóż w tym samym czasie, w końcu zeszłego wieku, Francya, na którą rzuciła się cała Europa, potrafiła się obronić i zwyciężyć w tej walce o byt? Dlatego, że rewolucya francuska wypędziła pasożytów - arystokratów, a zaprowadziła równość i braterstwo, czyli solidarność, coprawda, jeszcze niezupełną i nietrwałą!

Błędem jest zupełnym myśleć, że jeśli społeczeństwo pomaga członkom swoim, którzy okazują się słabszymi w walce o byt i upadają, to tylko nadaremnie traci siły. Jest to błędem i fałszem dla dwóch powodów. Najpierw, ci zwyciężeni w walce o byt, ci nędzarze schorowani, zbiednieni, słabi a często i zdemoralizowani, jakeśmy to wyżej powiedzieli, nie usuwają się ze społeczeństwa (ba! i bogacze nawet nie chcieliby, aby się usunęli, wyemigrowali lub powymierali, bo kto by wtedy na bogaczy pracował!?). Oni zostają w społeczeństwie — i oni cierpią, ale i całe społeczeństwo na tem cierpi. Oni chorują — zarazy rozszerzają się i na innych. Oni rodzą słabe dzieci: społeczeństwa niema kto bronić od nieprzyjaciół, a w końcu i cały przemysł, całe rolnictwo idzie gorzej od słabości robotnika. Z nich część traci wszelką moralność, staje się zbójami, złodziejami: zagraża to całemu społeczeństwu — itd. A powtóre — toć przecie któż może wiedzieć, któż może obliczyć, jakie to właśnie siły, jakie to zdolności giną marnie, bez żadnego pożytku dla społeczeństwa przez to tylko, że tyle ludzi, żyjąc w nędzy, umierając przedwcześnie, nie może się wykształcić, nie może rozwinąć swych zdolności! Weźmy tylko taki przykład: przed rewolucyą francuską oficerami mogli być w wojsku prawie tylko szlachta; chłopi, mieszczanie — uważani byli za niezdolnych do komendy, a tylko dobrych do wystawiania piersi na ogień. Gdy rewolucya francuska dopuściła do komendy wszystkich porówno, według zasług i zdolności — odrazu znalazły się dziesiątki

i setki prostych żołnierzy, którzy pozostawali genialnymi dowódcami i jenerałami. Skoro zaprowadzona zostanie równość między ludźmi, jak tego żąda socyalizm, skoro każdy będzie pracował tyle, ile koniecznie potrzeba dla społeczeństwa, i w zdrowych warunkach, i miał pewność bytu dla siebie i rodziny, i mógł otrzymywać zupełne wykształcenie, to coś podobnego stanie się we wszystkich zawodach: siły i zdolności, które dziś giną marnie, wyjdą swobodnie najaw, i nauki, rzemiosła, wynalazki, sztuki piękne będą czyniły olbrzymie, nigdy dotychczas niesłychane postępy.

I dziś już klasy uciskane i wyzyskiwane zaczynają coraz więcej rozumieć, że nie walka o byt każdej jednostki, każdego pojedyńczego człowieka, przeciw wszystkim bliźnim, nie wypychanie się jednych przez drugich, nie spychanie się wzajemne z lepszych stanowisk, nie zazdrość, podstęp i chciwość osobista, ale tylko solidarność jak najgorętsza może im zapewnić polepszenie bytu, rozwinąć w nich zalety duszy i ciała, zdrowie i szlachetność, siłę i odwagę, i dać zwycięstwo nad wyzyskiwaczami i ich pomocnikami — rządami.

Uczeni, którzy służą interesom burżuazyi i fałszywie podają się za uczniów wielkiego Darwina, przedstawiają sobie walkę o byt w ludzkości w taki sposób, jakby tłum ludzi ślepych, głuchych i niemych biegł na wyścigi po trudnej i nierównej drodze do jakiegoś nieznanego celu. Rozumie się, że ludzie tacy będą się tłoczyć, bić, potrącać, wpadać do dołów, łamać nogi, że żaden nie udzieli innemu rady i pomocy. Trzy czwarte — więcej może — upadnie, zginie po drodze; paru — może dojdzie. Nauka tymczasem, prawdziwa, szczera, niefałszowana nauka, otwiera tym ludziom oczy, daje słuch i mowę i powiada: Patrzcie; droga jest trudna i stroma, ale cel piękny i wzniosły; oto podajcie sobie ręce, ostrzegajcie jedni drugich, pomagajcie jedni drugim — a dojdziecie do celu wszyscy, słabsi i silniejsi.

Nauka więc woła do człowieka: Walcz — ale walcz o to, aby w społeczeństwie zapanowała solidarność, braterstwo i równość.

M. Luśnia.

KONSTYTUCYA SZWAJCARSKA

Czytelnicy „Światła“ poznali już z artykułu tow. Luśni (w N⁰ 4-tym) jedną konstytucyę republikańską — mianowicie francuską. Obecnie chcemy ich zaznajomić z konstytucyą innej rzeczypospolitej, której urządzenia w daleko znaczniejszej mierze zabezpieczają prawa jednostek poszczególnych i całych prowincyi, zapewniając ludowi nieograniczony wpływ tak na ustanawianie jak i na wykonywanie praw obowiązujących.

Rzeczpospolita szwajcarska jest państwem związkowem, utworzonem na skutek dobrowolnego połączenia się różnych drobnych kraików, które sprzymierzyły się dla obrony przeciwko wspólnym wrogom, chcą-

cym je podbić i ujarzmić. Pierwotnie związek ten był zupełnie luźnym sojuszem obronnym, ale z czasem oddzielne kraiki (kantony) spajały się coraz silniej, i ostatecznie Szwajcarya ze związku państewek samodzielnych przekształciła się na jedno państwo związkowe. Konstytucya 1874 r., obowiązująca dotychczas, utrwaliła ostatecznie ten charakter Szwajcaryi.

Historya Szwajcaryi tłómaczy nam najzupełniej, dla czego w tym kraju wolność jest większą aniżeli gdzieindziej, dla czego niema tam ucisku narodowościowego, choć mieszkają obok siebie cztery narodowości, dla czego swobody obywatelskie są tam cenione bardziej, niż gdzieindziej. Wówczas kiedy inne państwa powstały z podbojów, były skute w jedną całość z różnych żywiołów żelazną dłonią zdobywcy, Szwajcarya powstała jako protest ludu przeciwko zakusom zaborców. Krew mas ludowych, obficie przelewana za niepodległość kraju rodzinnego, spoiła Szwajcaryę w jedną całość, a walka ta wszczepiła ludowi szwajcarskiemu wielką miłość wolności i przywiązanie zazdrosne do swobód. Stawiając mężny opór najezdcom, lud szwajcarski potrafił również uporać się u siebie w domu ze szlachtą; złamał jej potęgę i zniszczył wszelkie jej znaczenie. To też w historyi Szwajcaryi widzimy na każdej stronicy lud — wiejski i miejski — świadomie dążący do zupełnego zniesienia przywilejów wyższych stanów — szlachty i duchowieństwa i do zaprowadzenia takich porządków, które by były najdogodniejsze dla ludu.

Ten charakter historyi Szwajcaryi tłómaczy nam demokratyczność jej ustroju. Pod względem demokratyczności konstytucya szwajcarska ogromnie wyprzedziła nietylko monarchiczne państwa Europy, ale nawet republikańską Francyę. Szwajcarya jest jedynem państwem europejskiem, które posiada prawie całkowicie urzeczywistnione bezpośrednie prawodawstwo ludowe (patrz artykuł B. A. J. w N⁰. 3 „Światła").

Lud szwajcarski posiada prawo inicyatywy i, jeżeli 50.000 obywateli szwajcarskich zażąda głosowania nad projektem jakiegoś nowego prawa, które by miało na przyszłość obowiązywać ogół, takie głosowanie musi być przeprowadzone. Tak samo wszelkie prawo, zatwierdzone już przez najwyższą władzę ustawodawczą, musi być poddane pod głosowanie powszechne (referendum). W ten sposób lud korzysta z olbrzymiego wpływu na układ stosunków państwa i stosunki te w zupełności zależą od woli większości ludu. W Szwajcaryi jest niemożliwem to, co się dzieje gdzieindziej na każdym kroku, że jakaś jedna klasa lub partya, zdobywszy władzę, może ją wyzyskiwać wbrew woli większości. Lud szwajcarski jest w stanie bardzo szybko się załatwić z takimi czynnikami, które by chciały bezprawnie zagarnąć władzę w swe ręce i na swą wyłączną korzyść obrócić. W Szwajcaryi bowiem nie ma tego, co we wszystkich państwach, nawet konstytucyjnych, stanowi główną siłę reakcyi i oporę czynników antyludowych — stałej armii. W Szwajcaryi każdy obywatel ćwiczy się wojskowo i jest żołnierzem, a w razie potrzeby potrafi się dać we znaki najezdcom, ale żaden kanton nie ma prawa trzymać pod bronią więcej nad 300 ludzi. Oczywista, że gdyby kto chciał skorzystać z tej garstki żołnierzy dla celów przeciwnych

woli ludu, nie dopiąłby niczego. Konstytucya bowiem szwajcarska umożliwia najzupełniej ludowi obronę praw obywatelskich z bronią w ręku, ponieważ uzbrojenie (otrzymane do tego całkiem bezpłatnie) pozostaje w ręku obywateli.

W ten sposób zapobiega się wszelkim próbom pogwałcenia swobód obywatelskich ze strony organów władz wykonawczych lub partyi znajdujących się u steru. Ale konstytucya szwajcarska dba nietylko o zabezpieczenie praw większości; umożliwia ona wpływanie na ustawodawstwo i mniejszości. Widzieliśmy już wyżej, że 50.000 obywateli może żądać głosowania nad projektem prawa, które uważa za słuszne i pożądane. Istnieje w Szwajcaryi jeszcze prawo petycyi, z którego może korzystać każdy i za pomocą którego może zmusić organy państwowe do rozpatrywania wniosków nawet najdrobniejszych mniejszości.

Wszyscy szwajcarzy są równi wobec prawa; swoboda handlu i przemysłu wewnątrz państwa jest zupełną; *) wolność wyznań religijnych i przekonań politycznych jest całkowicie zagwarantowaną; wolność strejków i związków również.

Pojedyńcze kantony Szwajcaryi cieszą się zupełnym samorządem i posiadają różne konstytucye, na zasadzie których się rządzą. Konstytucye te są demokratyczne — w mniejszym lub większym stopniu, stosownie do układu sił społecznych w danym kantonie, ale wszystkie one muszą odpowiadać następującym trzem zasadom: 1) nie zawierać nic sprzecznego z konstytucyą związku, 2) ustanawiać wykonywanie praw politycznych zgodnie z zasadami republikańskiemi; 3) być przez lud przyjęte i poddawane rewizyi na żądanie absolutnej większości ludu.

W Szwajcaryi dzieje się najczęściej tak, że najpierw jeden kanton wprowadza u siebie jakieś nowe prawo lub urządzenie. Kiedy inne kantony widzą, że nowość ta jest pożyteczną, wprowadzają je z kolei u siebie. Nareszcie przyjmuje ją i cały Związek (państwo). W ten sposób prawodawstwo Szwajcaryi ujednostajnia się coraz bardziej, ale, oczywista, każde nowe prawo nie może zapanować w całej Szwajcaryi wcześniej, aniżeli większość ludu tego nie postanowi.

Przetworzenie się Szwajcaryi ze związku państw na państwo związkowe musiało bezwarunkowo uszczuplić władzę kantonów na korzyść Związku, co jednak wyszło tylko na korzyść całego narodu. Np. aż do r. 1874 każdy kanton, w razie niebezpieczeństwa, zagrażającego całości państwa, winien był dostarczyć pewną ilość żołnierzy, przyczem pieczę nad ich przysposobieniem do służby wojskowej, umundurowaniem i uzbrojeniem miały same kantony. Wytwarzało to zbyt wielką rozmaitość, a więc i niedogodności. W skutek tego konstytucya 1874 r. wkłada na związek obowiązek zajmowania się wszystkiem, co dotyczy wojska. **) Z przejściem spraw wojskowych w zawiadowstwo Związku zwiększyły się i wydatki tego ostatniego, co doprowadziło do reformy finansów. Niektóre z dochodów, wpływające poprzednio do

---

*) Wyjątek stanowią monopole państwa: wódczany, solny i prochowy.

**) Należy jednak zaznaczyć, że mieszkańcy jednego kantonu służą w wojsku razem.

kas poszczególnych kantonów, stały się obecnie własnością całego państwa. W związku z tem był cały szereg ustaw.

Konstytucya szwajcarska głosi, że Związkowi przysługuje ustawodawstwo w zakresie stosunków prawnych, dotyczących handlu, przymusowych sprzedaży, miar i wag, własności modelów i wynalazków, własności literackiej i artystycznej, prawa fabrycznego, celnego, dotyczącego kolei żelaznych, polowania i rybołówstwa, prawodawstwa cywilnego i karnego oraz wojska. Oprócz tego szereg oddzielnych artykułów konstytucyi oddaje administracyi lub nadzorowi Związku następujące poszczególne czynności: roboty publiczne leżące w interesie całej Szwajcaryi lub większej jej części, na koszt Związku wykonywane; nadzór nad robotami wodnemi i policyą leśną; zarząd wyższych zakładów naukowych związkowych oraz udzielanie zapomóg szkołom kantonalnym; piecza nad tem, by kantony dawały dostateczne niższe wykształcenie swym obywatelom; administracya kolei, poczt, telegrafów oraz produkcyi wódki, soli i prochu, stanowiących monopol; administracya mennic; rozporządzenia, dotyczące biletów bankowych; wyłączne rozporządzanie siłami wojskowemi Związku w razie niebezpieczeństwa.

Jak widzimy, kompetencyi władz związkowych podlegają wszystkie te dziedziny życia publicznego, które są wspólne całemu państwu. Do spraw wewnętrznych kantonu Związek ma prawo mieszać się o tyle, o ile potrzeba, by konstytucye kantonu nie sprzeciwiały się trzem owym zasadom kardynalnym, które poznaliśmy już wyżej.

Materyalne środki, potrzebne do sprawnego pełnienia wszystkich tych czynności, Związek czerpie z dochodów, pochodzących z majątku Związku, ceł, monopolów i połowy dochodu z pobieranego przez kantony podatku, opłacanego przez niesłużących wojskowo obywateli, i ze sum wnoszonych przez kantony.

Ogólno-państwowych podatków pośrednich, takim ciężarem przygniatających w innych państwach ludność pracującą, w Szwajcaryi niema. Istnieją one tylko w kantonach poszczególnych, ale i to nie we wszystkich. Cła w Szwajcaryi są bardzo nizkie, a ceł ochronnych prawie niema.

Władza prawodawcza Związku spoczywa w ręku zgromadzenia związkowego, składającego się z rady narodowej i rady kantonów. Rada narodowa jest wybierana na 3 lata przez powszechne, równe, bezpośrednie i tajne głosowanie wszystkich obywateli, którzy skończyli lat 20. Każdy wyborca jest zarazem wybieralnym. Jeden poseł przypada na 20.000 obywateli, a ułamki powyżej 10.000 są uważane za całość. Okręgi wyborcze nie mogą się składać z ziem różnych kantonów. Duchowieństwo jest pozbawione tak czynnego jak i biernego prawa wyborczego. Członkowie rady narodowej otrzymują pensye z kasy związkowej. Rada kantonów składa się z 44 delegatów kantonów; każdy kanton wysyła 2-ch i płaci im pensyę. Członkami rady kantonów nie mogą być członkowie rady narodowej.

Kompetencyi obydwóch rad podlegają wszelkie sprawy państwowe, o ile nie należą do specyalnych instytucyi związkowych, sojusze i umo-

wy z mocarstwami zagranicznemi, wybór wyższych władz wykonawczych i sądowych oraz jenerała armii związkowej.

Wszelkie postanowienia obydwóch rad, jeśli są zgodne, stają się prawem,*) przyczem w głosowaniu winna brać udział absolutna większość członków obydwóch rad. Posiedzenia są jawne i każda rada obraduje oddzielnie, tylko w pewnych, ściśle określonych sprawach (korzystanie z prawa ułaskawienia, spory o kompetencyę oddzielnych władz) obydwie rady łączą się pod przewodnictwem prezesa rady związkowej. Prawo inicyatywy posiada każdy członek ciał prawodawczych i każdy kanton.

Najwyższą władzę wykonawczą i kierowniczą stanowi rada związkowa, składająca się z siedmiu członków, wybieranych przez zgromadzenie związkowe z pośród wszystkich, posiadających prawo wybieralności obywateli szwajcarskich**). Rada związkowa wybiera na rok jeden przewodniczącego i jego zastępcę ze swego łona. Przewodniczący nie może być następnego roku wybrany ani na to samo stanowisko, ani na stanowisko zastępcy. Kompetencyi rady związkowej podlega wybór urzędników związkowych, piecza nad wykonywaniem praw związkowych, kierownictwo administracyą związkową, reprezentowanie Związku wobec zagranicy itd. Oprócz tego w razie niebezpieczeństwa rozporządza ona wszystkiemi siłami wojskowemi Związku, ale winna natychmiast zwołać zgromadzenie związkowe, jeśli powołane pod broń wojsko przenosi 2.000 ludzi i ma pozostać dłużej niż trzy tygodnie na stopie wojennej. Członkowie rady związkowej posiadają w obydwóch radach prawodawczych głos doradczy i prawo inicyatywy.

Ogromnie ważną, a dopełniającą dwie poprzednie, instytucyą jest sąd związkowy, wybierany przez zgromadzenie związkowe z pośród ogółu obywateli szwajcarskich, posiadających prawo wybieralności. Sądzi on sprawy cywilne (między związkiem a kantonami, związkiem a korporacyami lub osobami prywatnemi, kantonami i wreszcie kantonami a korporacyami cywilnemi lub prywatnemi osobami na żądanie jednej ze stron), oraz sprawy karne: zdradę wobec Związku, podszczuwanie lub spełnianie gwałtu na urzędnikach związkowych, wykroczenia przeciw prawu międzynarodowemu, przekroczenia urzędników państwowych, pociągniętych do odpowiedzialności karnej przez urzędy państwowe. We wszystkich tych wypadkach o winie orzekają przysięgli, wybierani na lat 6 przez powszechne głosowanie. Sąd związkowy sądzi też sprawy o kompetencyę między władzami związkowemi a kantonalnemi jako też i tych ostatnich między sobą oraz skargi o pogwałcenie konstytucyjnych praw obywatelskich, sojuszów i umów międzypaństwowych.

Należy nadmienić jeszcze o prawach narodowości szwajcarskich (niemców, francuzów, włochów i romanów), których równouprawnienie gwarantuje główne ustawodawstwo kantonalne. Otóż urzędowe organy Związku wydawane są po niemiecku i po francusku, a wszystkie prawa

*) O bezpośredniej władzy ustawodawczej ludu mówiliśmy wyżej.

**) Członkowie rady związkowej nie mogą wchodzić w skład zgromadzenia związkowego tak samo, jak i urzędnicy przez radę związkową mianowani.

i komunikaty ważniejsze ogłaszane są również i po włosku. W obu radach zgromadzenia związkowego każdy członek przemawia w swym języku rodowitym. Wogóle ponieważ żadnego ucisku albo przymusu językowego niema, przeto szwajcarzy nie są tak drażliwi na tym punkcie, jak narodowości uciskane. Dla tego też np. romani chętnie używają w stosunkach publicznych języka niemieckiego, a włosi francuskiego. Zresztą każdy prawie szwajcar oprócz swego języka rodowitego zna przynajmniej jeden z bardziej rozpowszechnionych — niemiecki lub francuski.

Jak widzimy, ze wszystkich konstytucyi europejskich, szwajcarska jest bezwątpienia najdoskonalszą jako konstytucya rzeczypospolitej demokratycznej.

St. Os . . . arz.

SYNDYKATY PRZEMYSŁOWE

Niezbyt dawne to czasy, gdy w Europie nic nie słyszano o syndykatach, ba, nawet sam wyraz mało był znany. Zaledwie 15 lat temu ukazało się pierwsze naukowe dzieło o tej kwestyi. Autor, burżuazyjny ekonomista, przepowiadał szybki rozwój syndykatów: omal, że nie wyśmiewano go wówczas, a dziś zdołano już napisać o tem stosy dzieł, a w niektórych krajach kwestya syndykatów przyszła pod obrady parlamentu. Wskazuje to, z jaką szybkością odbywa się rozwój ekonomiczny. To samo powtarza się obecnie u nas. Dopiero drożyzna cukru i raptowne podniesienie się cen węgla w 1897 roku zwróciły uwagę ogółu na zmowę przedsiębiorców. Pisma burżuazyjne coraz częściej piszą o tem, a i my powinniśmy wyjaśnić sobie tę kwestyę, bo dla robotników ma ona doniosłe znaczenie.

Przedewszystkiem musimy zastanowić się nad pytaniem, — jak powstają i czem są syndykaty?

Wiadomo, że burżuazya była przez pewien czas zwolenniczką wolnej konkurencyi, bo widziała w niej dla siebie najlepszy warunek rozwoju. Przy wolnej konkurencyi większa fabryka, mająca lepsze maszyny i wytwarzająca taniej, zabija nietylko rzemiosło, ale i drobne fabryki i pozostaje zupełnym panem na rynku. Przedsiębiorca, posiadający „spryt do interesu“, t. j. umiejący lepiej od innych wyzyskiwać robotników i spożywców, ma zawsze możność pobić swoich mniej sprytnych współzawodników, doprowadzić ich do bankructwa, zawładnąć rynkiem i w krótkim czasie zwiększyć swój majątek. W ten sposób, dzięki wolnej konkurencyi, odbywa się t. zw. koncentracya kapitałów, t. j.ześrodkowywanie bogactw w rękach niewielu magnatów. Burżuazya zupełnie nieświadomie dąży do tej koncentracyi; oddzielni przedstawiciele klasy mieszczańskiej rozumieją nawet, że wzrastająca nierówność w podziale bogactw musi wywoływać coraz większe niezadowolenie wyzyskiwanych robotników, i ostatecznie doprowadzi do przewrotu społecznego, ale koncentracya kapitału jest prawem, rządzącem kapita-

listycznem społeczeństwem, i to prawem nie dającem się w żaden sposób usunąć. Cokolwiek stoi na zawadzie ześrodkowaniu bogactw — musi zniknąć. Cechy, gminna własność ziemska u chłopów i wiele innych rzeczy, które właściwe były naturalnej gospodarce średnich wieków, a przeszkadzały rozwojowi kapitalizmu, zostały usunięte. Miejsce ich zajęła zasada wolnej konkurencyi, ale nastaje chwila, kiedy ta okrzyczana zasada staje się dla dalszej koncentracyi kapitałów szkodliwą i musi z kolei ustąpić miejsca innym poglądom, innym zasadom.

Chwila ta następuje wówczas, gdy na rynku panuje już wszechwładnie wielki przemysł, a rynek z miejscowego lub krajowego stał się wszechświatowym. Przedsiębiorca coraz mniej może oryentować się w warunkach rynku, bo nie wie, ile wyprodukowali jego konkurenci, a radby sam zaspokoić cały popyt na swój towar, zagarnąć sam wszystkie zyski. Im więc bardziej wzrasta rynek, tem bardziej każdy fabrykant dąży do powiększania swej produkcyi. Stąd bardzo łatwo nastąpić może i w rzeczywistości następuje tak zwane nadmierne wytwarzanie (nadprodukcya) : towarów jest na rynku więcej, niż spożywcy kupić mogą i ceny zaczynają spadać. Konkurencya pomiędzy fabrykantami ogromnie wzrasta, bo każdy z nich, nie mogąc zbyć wszystkich swoich towarów, widzi dla siebie ratunek tylko w zupełnem zniszczeniu współzawodniczących fabryk. W tym celu musi on towary swoje sprzedawać taniej niż współzawodnicy, a ponieważ ceny już przedtem były nizkie, więc, by nie ponosić zbyt dotkliwych strat — fabrykant stara się wytwarzać taniej. Zwykle ucieka się on do obniżania płacy zarobkowej, ale opór zorganizowanych robotników zmusza go do chwycenia się innego środka, a mianowicie znowu do dalszego zwiększania produkcyi. Są pewne koszty, jak np. koszty administracyi, amortyzacya stałego kapitału i t. d., które niewiele lub nawet wcale nie wzrastają przy powiększaniu produkcyi. Gdy koszty te dzielą się na większą ilość towarów, to towar może być sprzedawany taniej. Ponieważ jednak rynek już był przepełniony towarami, więc dalsze zwiększanie produkcyi wywołać może tylko nowy spadek cen ; fabrykanci uciekają się znów do zwiększenia produkcyi i nareszcie następuje kryzys : masowe bankructwa, czasowy zastój w przemyśle i handlu i bezrobocie, które jeszcze bardziej zmniejsza szanse szybkiego sprzedania nagromadzonych zapasów.

Kryzysy takie znane były, naturalnie, oddawna, ale dziś mają one zupełnie inne skutki. Dawniej kryzys pożądany był dla wielkich przedsiębiorstw, bo zabijał domowy przemysł i drobne fabryczki ; dziś walczą ze sobą wielkie fabryki, t. j. przedsiębiorstwa o sile mniej więcej równej, więc szanse zwycięstwa i to szybkiego zwycięstwa ogromnie się zmniejszyły dla każdego poszczególnego przedsiębiorstwa. Przytem walka dzisiejsza wymaga wielkich ofiar pieniężnych, jest kolosalnem trwonieniem kapitałów, a kryzys, skoro raz nastąpi, głęboko wstrząsa rynkiem i rozszerza się na inne gałęzie przemysłu i na handel. Podczas gdy dawniej kryzys rujnował dziesiątki tysięcy samodzielnych rzemieślników i drobnych przedsiębiorców i zwiększał szeregi proletaryatu, co było na rękę kapitalistom, — dzisiejszy kryzys musi

pociągnąć za sobą bankructwo znacznej liczby wielkich przedsiębiorstw i stratę ogromnej ilości kapitału. Nic więc dziwnego, że przedsiębiorcy starają się obecnie usunąć kryzysy i w tym celu porozumiewają się ze sobą. Takie porozumienie się, taka zmowa przedsiębiorców w celu usunięcia konkurencyi i zapewnienia sobie znacznych dochodów nazywa się syndykatem.

Widzimy więc, że syndykaty są koniecznym, nieuniknionym skutkiem rozwoju kapitalizmu, a zatem nie dadzą się one usunąć w inny sposób, jak tylko przez usunięcie samego kapitalizmu, przez przewrót społeczny. Ludzie, stojący na gruncie drobnomieszczańskim, oburzają się na syndykaty, choć bronią kapitalizmu, i w zapale swoim posuwają się tak daleko, że protegują... kradzież. Tak np. w jednym ze stanów Ameryki północnej wydano prawo, upoważniające każdego, kto by kupił wyrób syndykatu, do... niepłacenia umówionej ceny. Nasze stanowisko musi być, naturalnie, innem. Powinniśmy zbadać, jak syndykaty muszą się nadal rozwijać, i jaki skutek one wywierają lub wywierać będą na rozwój społeczny.

Najprzód co do rozwoju syndykatów. Drobomieszczańscy ekonomiści nie wierzyli i dziś nawet wierzyć nie chcą, żeby syndykaty mogły się pomyślnie rozwijać. Rzeczywistość najzupełniej zaprzecza ich poglądom : w Niemczech w przeciągu ostatnich 17 lat powstało i utrzymało się przy życiu więcej niż 200 syndykatów, w Ameryce liczba ta jest nieskończenie większa. Francya, Austrya, Włochy, Belgia, a nawet Anglia mają też swoje syndykaty, a zarówno liczba ich jak i siła ciągle wzrasta.

Co się tyczy organizacyi syndykatów, ich wewnętrznego ustroju, to wiemy jeszcze bardzo niewiele, bo są to organizacye tajne, — statuty ich trzymane są w tajemnicy, ale to, co wiemy, daje nam pewne wskazówki co do kierunku, w jakim syndykaty będą się rozwijały nadal.

Z początku umowa pomiędzy przedsiębiorcami jest tego rodzaju, że niezupełnie usuwa konkurencyę, a tylko do pewnego stopnia ją ogranicza. Zwykle członkowie syndykatu umawiają się co do ceny towarów, t. j. ustanawiają cenę, poniżej której nie wolno im sprzedawać swoich wyrobów. Albo też ograniczają oni ilość wytwarzanych towarów, określając, ile każda fabryka ma prawo wytwarzać. Taka np. umowa istnieje u nas pomiędzy fabrykantami cukru. Co roku określa się, ile cukru każdy fabrykant ma prawo sprzedać w kraju; jeżeli fabryka wyrabia więcej cukru, to resztę musi wywieźć zagranicę. Przy takiej umowie przedsiębiorca nie jest jeszcze pozbawiony samodzielności, pozostaje on i nadal panem w swojej fabryce, ale ta samodzielność daje się wkrótce we znaki innym przedsiębiorcom. Fabrykant, skoro tylko interesy jego znacznie się poprawią, a ceny na jego wyroby podniosą się, stara się złamać umowę lub oszukać swoich kolegów : albo otwarcie występuje z syndykatu, albo pokryjomu wytwarza więcej lub sprzedaje taniej niż na to pozwala umowa. Często bardzo syndykaty starają się temu zapobiedz w ten sposób, że każdy fabrykant składa na ręce zarządu syndykatu pewną ilość weksli, przez siebie podpisanych ; w razie, jeżeli wykroczy on przeciw przepisom umowy,

zarząd weksle te puszcza w kurs. Jest to jak gdyby kara pieniężna za niedotrzymanie umowy, ale pomaga ona niewiele, bo nieraz dla przedsiębiorcy jest dogodniej zapłacić karę, niż poddać się przepisom. W takich razach zwykle syndykat się rozpada, konkurencya rozpoczyna się na nowo, ceny znów spadają i fabrykanci ze skruchą powracają do dawnego środka : tworzą syndykat, ale oparty już na innej podstawie. W nowej organizacyi poszczególni przedsiębiorcy mają mniej samodzielności, a zarząd posiada większą władzę. Zarząd pośredniczy pomiędzy przedsiębiorcą i nabywcami, on przyjmuje obstalunki i rozdziela je pomiędzy fabrykami, on jeden ma prawo sprzedawać wyroby syndykatu. Taki rodzaj organizacyi najczęściej spotyka się w Niemczech; u nas syndykat kopalń węgla w zagłębiu Dąbrowieckiem ma podobny ustrój.

Taka organizacya, chociaż stosunkowo ściślejsza od poprzedniej, zawsze jeszcze niezupełnie zabezpiecza syndykat od nadużyć ze strony oddzielnych przedsiębiorców. To też po krótszym lub dłuższym przeciągu czasu wytwarza się z niej nowy rodzaj syndykatu, w którym zarząd jest wszechwładnym panem, a przedsiębiorca faktycznie staje się tylko dyrektorem fabryki, urzędnikiem syndykatu. Ten nowy rodzaj przyjmuje różne formy w zależności od prawodawstwa poszczególnych krajów i od wielu innych okoliczności. Zbliża się on, jak widzimy, do zwykłego akcyjnego towarzystwa i zwykle na tem się kończy, że syndykat zamienia się w towarzystwo akcyjne, a byli właściciele fabryk stają się akcyonaryuszami syndykatu. W ten sposób konkurencya jest już całkowicie usunięta i nic nie przeszkadza kapitalistom w zwiększaniu majątku.

Widzimy, że syndykaty muszą z konieczności stawać się coraz ściślejszemi organizacyami ; mamy prawo oczekiwać, że w przyszłości staną się one wszystkie akcyjnemi towarzystwami, posiadającemi monopol na rynku, będziemy więc przy badaniu ich wpływu mieć na oku przeważnie wyższe, lepiej rozwinięte syndykaty, t. j. zbliżające się do akcyjnych towarzystw.

Syndykaty zwykle zaczynają swą działalność od tego, że podwyższają ceny na swe wyroby. Ta zwyżka cen najwięcej rzuca się w oczy ; odczuwają ją nietylko robotnicy, ale ogół spożywców, to też najwięcej hałasu robiono z tego właśnie powodu.

Że syndykat może do pewnego stopnia podnosić ceny — temu zaprzeczać nie można ; ma on monopol na rynku, konkurencyi obawiać się naogół nie potrzebuje, więc przy podnoszeniu cen jest on krępowany względami zupełnie innymi, niż poszczególny przedsiębiorca. Zarząd syndykatu określa cenę wyrobów w stosunku do tego, czy wygodniej jest dla niego sprzedać niewiele towarów po wysokiej cenie, czy też wiele po nizkiej : w pierwszym wypadku podnosi nieraz ceny wdwójnasób i więcej. Rodzaj towaru ma też ogromny wpływ na wysokość cen. Np. u nas, gdzie drzewo na opał jest drogie, syndykat dąbrowiecki może bezkarnie podnosić ceny na węgiel, bo przecie bez opału obejść się nie może najnędzniej nawet żyjący człowiek. Przeciwnie syndykat wyrobów wełnianych mógłby nieznacznie tylko podnosić ceny,

bo wełniane wyroby mogą być z łatwością zastąpione przez tańsze, choć gorsze, bawełniane. Dla robotników, jako dla spożywców, syndykaty straszne są z tego względu, że przedmiotów zbytku, bez których łatwo się obejść można, robotnicy nie kupują. Ponieważ wszystko, cokolwiek robotnik kupuje, jest mu dla życia niezbędnem, więc jest on wobec podnoszenia cen przez syndykat zupełnie bezbronnym. Żaden spożywca nie może być tak wyzyskiwanym przez syndykat, jak robotnik. Naturalnie im lepiej syndykat jest zorganizowanym, tem większa jest jego siła wobec spożywców, tem wyżej może podnosić ceny, bo nie potrzebuje obawiać się konkurencyi.

Ale to jest zaledwie jedna strona działalności syndykatów. Są one niebezpieczne dla klasy robotniczej i z innego powodu — jako organizacya przedsiębiorców. Z oddzielnym przedsiębiorcą, szczególnie mającym mniej więcej poważnych konkurentów, walka jest stosunkowo łatwą; zorganizowani robotnicy zawsze potrafią nauczyć takiego pana r zumu, jeżeli tylko skorzystają z chwili. Trudniej dać sobie radę z grupą przedsiębiorców, jeżeli ci zawarli nawet czasową tylko umowę pomiędzy sobą i działają solidarnie. Przy umiejętnem korzystaniu z okoliczności, przy wytrwałości i solidarności ze strony robotników przedsiębiorcy mogą być pobici, jak tego dowiodły ostatnie wypadki w Danii. Że jednak niezawsze tak bywa, to najlepiej widzimy na przykładzie angielskich mechaników. Ta najbogatsza może na świecie organizacya zawodowa przez 8 miesięcy prowadziła uporczywą walkę z fabrykantami i nareszcie, pomimo pomocy z zagranicy, musiała złożyć broń. Fabrykanci bowiem związani byli pomiędzy sobą umową, na mocy której wzajemnie sobie dopomagali, a korzystając z okoliczności postanowili zupełnie złamać związek mechaników, co zresztą im się nie udało.

Jeżeli tak luźne stowarzyszenie mogło zwycięsko walczyć z potężną zawodową organizacyą robotników, to tem bardziej można oczekiwać, że dobrze rozwinięty syndykat, panujący wszechwładnie na rynku, nie obawiający się konkurencyi, potrafi oprzeć się bardzo wielu wymaganiom, stawianym przez robotników. Strejk może się udać w takich wypadkach przy bardzo pomyślnych okolicznościach, gdy np. na rynku jest znaczny popyt na wyroby syndykatu. Syndykat wówczas zbyt wiele by stracił na zatrzymaniu fabryk, więc można go zmusić do ustępstw. Jednak pamiętać zawsze należy, że przy takich strejkach konieczna jest o wiele większa solidarność robotników, niż przy zwykłych. Zrozumieć to nie trudno: jeżeli strejkują nie wszystkie przedsiębiorstwa, należące do syndykatu, to straty, jakie syndykat ponosi ze strejku na jednej jakiejkolwiek fabryce, pokryte są z dochodów innych fabryk, które w tym czasie nie stanęły.

Częściowe strejki dla tego jeszcze rzadko się udają, że w bardzo wielu syndykatach przedsiębiorcy składają nawet specyalny kapitał — nieraz dość znaczny — przeznaczony na zapomogi dla tych fabrykantów, u których robotnicy strejkują. Tak, np. syndykat fabryk wełnianych wyrobów w Cottbus w Niemczech posiada już obecnie pół miliona rubli, przeznaczonych na ten cel.

Niektóre syndykaty otwarcie powiadają, że celem ich jest — między innemi — zwalczanie robotników, pozbawienie ich samodzielności. Chcą one robotników swoich zmienić w niewolników, którzy by wszystko znosili, woli swej nie mieli, o prawa swoje nietylko nie upominali się, ale wprost o nich zapomnieli. Zważmy jeszcze, że dziś już jest około 15 syndykatów międzynarodowych, do których należą przedsiębiorstwa różnych krajów ; liczba takich międzynarodowych organizacyi kapitalistów musi ciągle wzrastać, bo syndykaty, usuwając konkurencyę w kraju przez ograniczenie ilości sprzedawanych na wewnętrznym rynku towarów, resztę wyrobów swoich wywożą zagranicę, a konkurencya na zagranicznych rynkach wzrasta ogromnie. Dodajmy, że dawniej, gdy przedsiębiorcy byli odosobnieni, gdy każdy z nich działał na swoją rękę, syndykaty międzynarodowe były niemożebne z powodu wielkiej liczby ludzi, którzy musieliby się w tym celu wzajemnie porozumieć. Dziś przy rozwoju syndykatów takie porozumienie się jest rzeczą względnie łatwą, bo trudniej kilku tysiącom ludzi zawrzeć umowę, niż kilkunastu osobom, stanowiącym zarząd syndykatu.

Otóż walka z międzynarodowymi syndykatami przy pomocy strejku jest zupełnie niemożliwą, dopóki nie będziemy mogli przeciwstawić kapitalistom równie potężne międzynarodowe stowarzyszenia robotnicze.

Jeżeli więc na strejki mniej obecnie możemy liczyć, to tem większą uwagę należy zwrócić na drugą stronę naszej walki — na walkę polityczną. Zrozumiał to dobrze tow. Adler z Wiednia, gdy mówił: chcecie, by parlamenty wydawały prawa przeciw syndykatom, by ochraniały robotników ; ale kto będzie wydawał te prawa, kto je będzie wykonywał, jak nie ci sami przedsiębiorcy, ci sami członkowie różnych syndykatów albo wybrani przez nich posłowie ? Wobec tego, wszelkie prawa, mające ochraniać robotników itd., wówczas tylko mogą mieć jakiekolwiek znaczenie, jeżeli proletaryat będzie miał znaczny wpływ na rząd, jeżeli on będzie stanowił o wydawaniu i wykonywaniu praw ; — a zatem droga nasza w tej walce — to polityka!

Jeżeli słowa tow. Adlera są zupełnie słuszne w zastosowaniu do Zachodniej Europy, do krajów parlamentarnych, to tem większe mają one znaczenie dla nas.

W państwach konstytucyjnych do pewnego stopnia liczą się z nastrojem proletaryatu ; zresztą mają tam pewien wpływ na rząd partye drobnomieszczańskie, przeciwne syndykatom, to też rządy zagraniczne wydawały różne prawa, skierowane bądź to przeciw samemu istnieniu syndykatów, bądź to przeciw pewnym nadużyciom z ich strony. U nas rzecz się ma wręcz przeciwnie. Rząd rosyjski potrzebuje olbrzymiej ilości pieniędzy na wojsko i urzędników, a pieniądze te może mu dostarczyć tylko wielki przemysł. To też rząd carski otoczył szczególną opieką wszystkich przedsiębiorców, dopomaga im chętnie w ich zdzierstwach i sam namawia do tworzenia syndykatów. Podczas gdy zagranicą rządy starają się walczyć z syndykatami, carski rząd sam dopomaga do ich zawiązywania, a jednym z nich — syndykatem cukrowni zarządza minister finansów.

Nasza więc taktyka powinna na tem polegać, by nie zaniedbując strejków, o ile one są możliwe, szczególną uwagę zwrócić na walkę polityczną, na zupełne obalenie caratu. A do strejków należy porządnie się przygotowywać : strejkować powinny wszystkie przedsiębiorstwa syndykatu i solidarność powinna być wysoko rozwinięta.

Walka z syndykatami jest tylko wstępem do innej walki — do wywłaszczenia kapitalistów. Syndykaty same kopią grób dla kapitalizmu : z jednej strony doprowadzają one koncentracyę kapitałów do ostatnich granic, a zarazem organizują produkcyę, przez co ułatwiają przejście do planowego socyalistycznego wytwarzania ; z drugiej zaś strony wywołują wśród robotników coraz większe, coraz głębsze oburzenie na dzisiejszy ustrój i popychają ich do rewolucyi społecznej przyspieszają tę rewolucyę.

W. Piotrowski.

STAN SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO
w okresie 1796—1805 r.
(Emigracya. Spiski. Legiony).

W poprzednim artykule mówiliśmy o stosunku rządów zaborczych do podbitego społeczeństwa w pierwszym okresie po upadku Polski, teraz należy nam opowiedzieć o zachowaniu się społeczeństwa w całkiem nowych warunkach bytu.

Nowe te warunki były, jak widzieliśmy uprzednio, bardzo niepomyślne. Przez zesłanie na Sybir i zamknięcie po więzieniach jednych powstańców — a były ich dziesiątki tysięcy, — przez zmuszenie innych do ratowania się ucieczką zagranicę, mściwi zaborcy ogołocili Polskę ze wszystkiego, co miała najdzielniejszego i najżywotniejszego. Pozostałych w kraju, ludzi lichszych umysłowo i moralnie, pozbawiono wszelkiej spójni i możności legalnej pracy publicznej, odbierając im samorząd, wolność słowa i druku i oddając na pastwę zgrai urzędników, policyi i szpiegów.

Jeżeli do tego dodamy, że tylko szlachta z nieliczną inteligencyą miast stanowiły wówczas siły czynne narodu, i że warstwy ludowe nie odczuwały jeszcze długo potrzeby walki o swe prawa, pojmiemy łatwo, jakiem mogło być życie ówczesnego społeczeństwa.

Było to życie z dnia na dzień bez jasnego kierunku, bez męzkich czynów, pełne smutku i udręczeń, pełne ciszy i zastoju. Ogół myślący odczuwa zanadto dobrze ogrom krzywdy wyrządzonej krajowi, zanadto kocha swą narodowość i wolność, zaborcy ograniczyli go zbytnio, żeby mógł on i chciał, jeżeli już nie zlać się ze zwycięzcami, to przynajmniej wyrzec się marzeń o samodzielności. Ale też poczucie własnej niemocy wobec zjednoczonej potęgi zaborców zakorzeniło się zbyt mocno, zwłaszcza po ostatniej klęsce, w umysłach społeczeństwa, zbyt

wielkie już odłamy szlachty zatraciły dawny animusz i przestały uważać gotowość bez zastrzeżeń do walki z wrogami kraju za swój obowiązek patryotyczny, aby społeczeństwo chciało się zerwać samodzielnie w obronie swych praw podeptanych. Duszą ogółu wstrząsają dwa sprzeczne uczucia — miłość kraju i swobód z jednej, strach i obawa — z drugiej strony. Im wyżej w hierarchii społecznej i majątkowej, tem bardziej przeważa drugie uczucie, tem większą jest skłonność do zrzeczenia się swych praw wzamian za bezpieczeństwo i spokój ; im niżej — tem silniej i goręcej bije uczucie patryotyczne. Walka tych sprzecznych uczuć, zarówno silnych, nie pozwala społeczeństwu dojść do żadnego rezultatu. W dodatku myślący ogół ówczesny jest jeszcze zbyt przesądny i ciemny, powijaki, którymi go skrępowano, cisną go zbyt mocno, aby rzucił się do pracy organicznej, do podniesienia rolnictwa, przemysłu, handlu, oświaty, nauki i tą drogą, jeżeli już nie zapewnił krajowi niepodległości i swobód — gdyż niepodległość i wolność odzyskać można jedynie z bronią w ręku — zabezpieczył mu przynajmniej stały postęp i przysporzył bojowników za jego prawa przez rozpowszechnienie potrzeb kulturalnych wśród ciemnych jeszcze i barbarzyńskich mas ludowych. Społeczeństwo nasze stanęło z konieczności w miejscu. Jedni zamknęli się szczelnie w domach, a przestrzeganie obyczajów przodków i zbieranie różnych po nich rupieci uważali za szczyt patryotyzmu. Inni, bardziej krewcy, zapełniali pustkę życia tańcami, pijatyką i bijatyką. Inni znowu, pogrążeni w najwyższą rozpacz, strzelali sobie w łby. Nie brakło i takich, co czołganiem się zaskarbiali sobie względy najezdzców.

Na to wieczne dreptanie w miejscu, na tę zupełną bezczynność publiczną mogły się naturalnie zgodzić jednostki bierne, z jakich się składał ówczesny ogół, ale dla ludzi z głową i sercem, ludzi, kochających kraj nadewszystko, było ono nie do zniesienia. Oni to idą albo na tułaczkę, by szukać pomocy dla Polski u obcych, albo tworzą spiski w kraju. Ich czyny stanowią właściwą historyę.

Niedobitki powstania Kościuszkowskiego, których nie zdołali dosięgnąć zaborcy, udają się zagranicę. Jedni biegną do Francyi i Włoch, drudzy kupią się w pobliskiej prowincyi tureckiej w Multanach (dziś Rumunia). Oczy ich są zwrócone na Francyę, gdzie wulkan rewolucyi jeszcze nie zagasł, i która toczy w obronie swych praw zwycięską wojnę z Prusami i Austryą. Rząd francuski oświadcza żywe współczucie rozebranej Polsce i bierze w opiekę wygnańców. Emigranci są najlepszej myśli. Tymczasem rzeczpospolita francuska godzi się z prusakami i w traktacie zawartym w Bazylei (1795 r.) nic nie wspomina o Polsce.

Ten zawód nie osłabia bynajmniej wiary w pomoc rewolucyjnej Francyi. Jeszcze się toczy wojna z Austryą, która kto wie jakie dla kraju sprowadzi następstwa, byleby tylko polacy wyszli z bierności. Rząd francuski zaręcza, że sprawy Polski nie opuści, że w tym celu stara się podburzyć Szwecyę i Turcyę przeciw Moskwie, radzi wysłać delegatów do Konstantynopolu i Sztokholmu i trzymać się w gotowości. Emigranci w Paryżu organizują się i stawiają na swem czele Deputa-

cyę polską, mającą za zadanie komunikować się z rządem francuskim, z emigracyą i z krajem. Niebawem powstają spory w łonie Deputacyi. Skrzydło radykalne uważa pomoc Francyi tylko za pożyteczną dywersyę, ufa bardziej własnym siłom i nie dowierzając patryotyzmowi szlachty, której siłę poczytuje zresztą za niedostateczną dla obrony kraju, chce poruszyć chłopów przeciw najazdowi obietnicą nadania im własności. Skrzydło umiarkowane obawia się rewolucyi socyalnej, polega więcej na patryotyzmie szlachty, ale nie widząc możności wywołania w kraju wielkiego ruchu przeciw zaborcom, uważa pomoc Francyi za nieodzowny warunek dla skuteczności ruchu i chciałoby stworzyć jądro armii powstańczej poza krajem, pod osłoną Francyi. Powstają dwie deputacye. Na czele pierwszej radykalnej staje uczeń i współpracownik Kołłątaja Franciszek Dmochowski, drugiej przewodniczą Wybicki, Bars i Prozor. Deputacya umiarkowana posiada rozleglejsze stosunki z krajem i rozwija żywszą działalność. Ona bierze przeważny udział w tworzeniu spisków w kraju, zradza pomysł legionów i sprowadza Dąbrowskiego do Francyi.

Jan Henryk Dąbrowski, człowiek niezwykłej energii i wielkich zdolności wojskowych, był znany zaszczytnie w powstaniu Wielkopolskiem i cieszył się ogólną sympatyą wojskowych. Po poddaniu się Warszawy Suworowowi, kiedy niedobitki armii powstańczej pod naczelnictwem Wawrzeckiego gromadziły się pod Radoszycami, Dąbrowski przedstawił radzie wojennej projekt przerżnięcia się z wojskiem polskiem przez Niemcy do Francyi. Pomysł ten jako szalony odrzucono, i wojsko się rozproszyło. Po upadku powstania Dąbrowski pozostał w Warszawie, nagabywany przez Suworowa o wstąpienie do armii moskiewskiej. Tu zastali go emisaryusze Deputacyi polskiej i namówili do wyjazdu do Francyi dla zorganizowania pod osłoną republiki francuskiej wojska polskiego. Dąbrowskiemu pomysł przypadł do smaku. Przybywszy do Francyi, gdzie go przyjęto z wielkim zapałem, przedłożył rządowi memoryał, w którym wykazywał korzyści zarówno dla Francyi jak i dla Polski z utworzenia osobnego wojska polskiego na usługach Francyi. Rząd francuski pochwalił projekt, ale ponieważ prawo wzbraniało mu utrzymywać na swym żołdzie wojska cudzoziemskie, poradził Dąbrowskiemu udać się do rządu lombardzkiego i przyrzekł ze swej strony poparcie. Dąbrowski pojechał do Medyolanu, gdzie wkrótce stanął układ z rządem lombardzkim. Dąbrowski otrzymał prawo formowania z polaków wojska pod nazwą legionów, które wzamian za posiłkowanie włochów otrzymało płacę od rządu lombardzkiego. Legioniści mieli umundurowanie polskie i komendę polską, chorągwie francuskie i naramienniki z napisem włoskim „Wolni ludzie są braćmi“.

Na wezwanie Dąbrowskiego poczęli się zbiegać do niego zewsząd emigranci. Z kraju, pomimo grożącej kary śmierci, przedzierając się wśród ciągłych niebezpieczeństw przez kordony graniczne, szła z błogosławieństwem matek, z woreczkiem ojczystej ziemi na piersiach owa drobna szlachta, która długi czas służyła magnatom za narzędzie do rozbijania Rzeczypospolitej, ale też teraz najwytrwalej przechowywała

rewolucyjny patryotyzm. Wkrótce Dąbrowski ujrzał się na czele wcale pokaźnego hufca, który też zaraz ruszył na teren wojny francusko austryackiej. O usposobieniu legionistów świadczy najlepiej marsz „Jeszcze Polska nie zginęła“, który po raz pierwszy zabrzmiał w ich szeregach.

Pod wpływem emigracyi nie zasypiano też sprawy w kraju. Emisaryusze udali się do Galicyi, na Litwę, zapukano do Warszawy. Choć, jak powiedzieliśmy, ogół pogrążył się w letarg i obawiał konspiracyi, znaleźli się przecież ludzie zdecydowani na wszystko. W Warszawie zawiązał się klub rewolucyjny, na Litwie organizowali powstanie bracia Ciecierscy, w Galicyi stanęła konfederacya za wpływem Dzieduszyckiego, Rymkiewicza i Jabłonowskiego. O wszystkich tych spiskach mało co dotąd wiemy. Jedno zdaje się niewątpliwem, że wciągały one wyłącznie szlachtę i zamierzały dokonać powstanie głównie przez tę warstwę. Jeden tylko spisek Gorzkowskiego różni się pod tym względem i dla tego rozszerzymy się nieco nad nim, choć zresztą nie miał on, jak wszystkie inne spiski, wielkiej doniosłości.

Franciszek Gorzkowski urodził się w Warmii (dziś Prusy). Ukończywszy nauki początkowe w Polsce, udał się do Paryża, gdzie przejął się czcią dla idei postępowych. Po powrocie do kraju Gorzkowski należy do związku, który przygotowywał powstanie Kościuszki. W pamiętnych dniach kwietniowych widzimy go czynnym na ulicach Warszawy. Kiedy nastąpiło oblężenie stolicy, Gorzkowski przedstawił Kościuszce projekt zrewolucyonizowania Prus Zachodnich i Warmii, dokąd się też udał z polecenia Naczelnika. Po upadku powstania, który przypisywał obojętności szlachty, Gorzkowski pozostał w kraju, ale nie siedział, jak ogół, z założonemi rękami. Zajęty, jako geometra, wymierzaniem gruntów, miał on ciągłe stosunki z chłopami i znał ich nędzę, nad którą bolał. Z tej miłości do ludu zrodził się w jego głowie śmiały zamiar wywołania powstania chłopskiego, zmierzającego jednocześnie do wyzwolenia kraju z jarzma cudzoziemskiego i ucisku szlacheckiego.

Dziś trudno powiedzieć, jak sobie Gorzkowski wyobrażał tę wyzwoloną Polskę, ale zdaje się, że chciał uwłaszczyć chłopów, odebrawszy ziemię szlachcie. Gorzkowski rozpoczął propagandę wśród chłopów we wsi Cisze, w powiecie liwskim, i tu zorganizował pierwszy związek. Spiskowcy nosili jakieś tabliczki, zdaje się, dla poznania się. Związek rozszerzył się dość znacznie w powiecie liwskim, wszedł w stosunki z Warszawą, kiedy nieostrożność jednego z chłopów wykryła wszystko. Właściciel wsi Cisze, spotkawszy pewnego razu jednego ze swych poddanych, niosącego kilkaset nieszczęsnych tabliczek do wsi sąsiednich, spytał go, dokąd idzie i co by owe tabliczki miały za znaczenie. Chłop się zmieszał i milczał, a kiedy go szlachcic połajanką począł przynaglać do odpowiedzi, odpowiedział groźnie, że już niedługo będzie koniec panowania szlachty. Hardość niezwykła chłopa uderzyła szlachcica, który wziął chłopa na spytki i dopóty kazał okładać kijami, aż bity nie powiedział, co wiedział. Szlachcic wściekły, że mu buntują chłopów, oddał Gorzkowskiego i jego pomocnika Per-

lesa w ręce policyi. Zakutych w kajdany odstawiono do więzienia w Krakowie, gdzie młody Perles życie zakończył. Sąd skazał Gorzkowskiego na śmierć, którą to karę zamieniono na dożywotnie wygnanie z zaboru austryackiego.

Legiony, spiski w kraju, gromadzenie się wojskowych na Multanach, a nadewszystko zwycięstwa armii rewolucyjnej nad Austryą i zapewnienia rządu francuskiego, że dzięki jego usiłowaniom lada dzień Turcya i Szwecya wypowiedzą wojnę Moskwie, wszystko to podnosiło serca emigrantów. Nadzieje wzrosły tembardziej, kiedy legion otrzymał rozkaz udania się z Brescii do Palma Nuova w kierunku Polski. W kołach emigranckich panowała taka pewność rychłego zmartwychwstania ojczyzny, że deputacya na wniosek Wybickiego wezwała piśmiennie członków sejmu czteroletniego, aby dla otwarcia obrad pośpieszyli do Medyolanu, gdzie Dąbrowski przygotowywał już dla nich pałac. Stało się inaczej. Pomimo świetnych zwycięstw Francya zawarła przymierze z Austryą w Campo Formio (1797 r.), nie zawarowawszy nic dla Polski. Turcya nie chciała się rzucać na Moskwę, a Szwecya nawet się z nią sprzymierzyła. Legion otrzymał rozkaz cofnięcia się do Bolonii. Związek wojskowy na Multanach został rozpuszczony. Było to zupełne opuszczenie przez Francyę sprawy polskiej, które pociągnęło smutne następstwa. Nie wszyscy wojskowi, zgromadzeni na Multanach, zgodzili się rozejść. Część ich zrozpaczona wtargnęła do Galicyi pod dowództwem Deniski. Rząd austryacki, uprzedzony o gotującej się wyprawie, wysłał silny oddział wojska na granicę, który wkraczającym zadał straszną klęskę. Kilkudziesięciu z pomiędzy powstańców powieszono, reszta zdołała umknąć. Ruch ten obudził czujność rządów zaborczych. Uwięziono konfederatów galicyjskich i spiskowców litewskich oraz wybitniejszych posłów sejmu czteroletniego. Emigracya paryska, zupełnie zawiedziona w swych rachubach na Francyę, rozproszyła się. Na placówce pozostał tylko legion, wzmocniony przybyciem kilkudziesięciu wyższych oficerów, między innymi jenerała Kniaziewicza i znacznego oddziału Białowiejskiego.

Po powrocie do Bolonii, legion, który liczył teraz 7.000 ludzi, podzielono na dwa pod naczelnem dowództwem Dąbrowskiego. Komendę nad pierwszym objął Kniaziewicz, nad drugim Wielhorski. Legion drugi stanął załogą w Medyolanie i Mantui, legion pierwszy otrzymał rozkaz udania się na granicę państwa papieskiego do Rimini. W maju 1798 r. legion wkroczył do Rzymu, skąd, uganiając się po drodze z buntami chłopskimi, podżeganymi przez księży niezadowolonych z panowania bezbożnych francuzów, posuwał się ku południowi, ku granicom królestwa neapolitańskiego. Przerażony bliskiem sąsiedztwem armii rewolucyjnej, król neapolitański, nie doczekawszy się nowej koalicyi, która się knuła znowu przeciw Francyi, wypowiedział jej wojnę i wkroczył z licznem wojskiem do państwa kościelnego. Wojska francuskie, w tej liczbie i legion, musiały się na razie cofnąć na północ, ale wnet po bitwie pod Nepi, w której neapolitańczycy ponieśli klęskę, rozpoczął się pochód odwrotny. Armia francuska wkroczyła w Neapolitańskie. Miasta przychylne francuzom poddawały się jedno

po drugiem. Wkrótce zdobyto Neapol, skąd król umknął, i ogłoszono tu rzeczpospolitą. W tej sławnej wyprawie legion zasłynął z męstwa. Po ukończonej wojnie Kniaziewicz otrzymał polecenie przewiezienia do Paryża chorągwi nieprzyjacielskich. (Styczeń 1799 r.).

Kiedy to się dzieje na południu Włoch, od północy nadciągała nowa burza. Wkraczali austryacy, a za nimi nadciągała Moskwa pod dowództwem dzikiego Suworowa. Nastąpił szereg bitw (pod Legnano i Magnano z austryakami 26 marca — 5 kwietnia 1799 r., pod Trebbia z połączoną potęgą Moskwy i Austryi 19—20 czerwca), w których francuzi, ustępujący przeciwnikom liczebnie, odnosili klęskę po klęsce. W tych bitwach uczestniczyły oba legiony, które też niezmiernie ucierpiały. Pierwszy w bitwach pod Trebbia, Novi i ciągłych utarczkach z austryakami zmalał do 800. Drugi jeszcze gorszy los spotkał. Stopniawszy w bitwach pod Legnano i Magnano z 4 000 do 2.000, został zamknięty w Mantui i oblężony przez austryaków. Po poddaniu się fortecy legia, która liczyła już tylko 800, wpadła w ręce austryaków. Ocalało zaledwie 150 legionistów, których Aksamitowski poprowadził do Lugdunu.

W takim stanie zastała obie legie zmiana rządu we Francyi (listopad 1799 r.). Jenerał Bonaparte opanował władzę i rozpoczął świetną trzydziestodniową wyprawą we Włoszech odwet na koalicyi. W sercach legionistów obudziły się nowe nadzieje. Napoleon oświadczył się z wielką życzliwością dla Polski i polecił Dąbrowskiemu i Kniaziewiczowi formowanie nowych legionów. Rozpoczęły się nowe werbunki. Legiony wzrosły wkrótce do 15.000. Legion Kniaziewicza walczył w Niemczech, Dąbrowskiego we Włoszech. Tymczasem Napoleon pogodził się z Austryą traktatem w Luneville (1801 r.). Legie stały się dla Francyi zbyteczne, starano się też ich pozbyć. Kiedy wybuchło powstanie murzynów w Ameryce, wsadzono przemocą dzielnych legionistów na statki w Genui i Livorno i powieziono na wyspę św. Dominika, gdzie walcząc bardziej z żółtą febrą, jak z dzikimi, większość marnie zginęła.

Walki legionistów, choć nie doprowadziły do zamierzonego celu, nie były całkiem bez pożytku. Legiony rozniosły szeroko po świecie krzywdę, wyrządzoną naszemu narodowi, uszlachetniły w Europie imię polskie, zyskały nam życzliwość Francyi i nie pozwoliły Polsce podle zasypiać w niewoli.

Owoc ich poświęcenia Polska zbierze w 1807 r.

Jan Wierzba.

Socyalizm w Argentynie i Brazylii

Argentyna i Brazylia są to największe państwa Południowej Ameryki. Argentyna zajmuje przestrzeń taką jak połowa Rosyi Europejskiej ; Brazylia zaś ma rozległość półtora razy większą, niż carat w Europie. Ale oba te państwa są jeszcze mało zaludnione ; Argen-

tyna jest przeszło 100, Brazylia zaś 39 razy rzadziej zasiedlona, aniżeli Królestwo Polskie. Już to jedno nam wskazuje, że wielkiego przemysłu w obu tych krajach być nie może. Istotnie tak jest. Oba kraje są prawie wyłącznie rolnicze, miast większych — z wyjątkiem stolic — niemal wcale niema. Niema więc większych mas proletaryatu miejskiego, wśród którego socyalizm najlepiej by się mógł krzewić. Atoli trudności dla rozwoju ruchu naszego w obu tych krajach na tem się nie kończą. Sam skład ludności i historya całej Ameryki Południowej jest największą przeszkodą dla rozwoju socyalizmu. Przyjrzyjmy się jednak każdemu z dwóch tych krajów zosobna.

* * *

Ziemie, należące do dzisiejszej republiki argentyńskiej, zostały odkryte i objęte w posiadanie przez hiszpanów przed 400 prawie laty. Hiszpania zrobiła z nich swoje kolonie, a zarząd gospodarki krajowej dostał się w ręce jezuitów. Jak rządzili hiszpanie w koloniach, to poczęści opisane jest w N⁰ 1 „Światła“ (str. 48). O dobrobyt kolonii wcale się nie troszczono, nie dbano o to, by one przynosiły zyski coraz większe, a tylko rabowano ich bogactwa i prześladowano ludność tubylczą bez litości. Do Argentyny więc wyjeżdżali z Hiszpanii głównie awanturnicy najgorszego gatunku, mający wstręt do pracy, a chcący zbogacić się szybko kosztem tępienia dzikich. Dzikich istotnie mocno przetrzebiono , dziś na 100 mieszkańców Argentyny przypada tylko 7 indyan czystej krwi. Wytworzyła się jednak poczęści rasa mieszana z pożycia małżeńskiego białych z indyankami, potem zaczęto do pracy przywozić także niewolników — murzynów z Afryki. Dziś na 100 mieszkańców przypada w Argentynie 27 mieszańców białych z indyankami lub murzynkami. Biali przez długi czas uważali pracę za coś upokorzającego dla siebie : pracować powinni byli indyanie, murzyni lub mieszańcy. A na tych ludzi kolorowych patrzano naturalnie z pogardą już z powodu ich dzikich obyczajów i koloru skóry. Gdy wreszcie i biali musieli się zabrać do pracy, to podział i uprzedzenia rasowe pozostały. Trudno jest wytłómaczyć proletaryuszowi białemu, że powinien widzieć brata w robotniku indyaninie. Trudno jest mieszańcowi nabrać ufności do białego, który od wieków traktował go jako zwykłe bydlę robocze. Przytem oświata dotąd stoi w kraju bardzo nizko. Wreszcie na działalność polityczną od wieków przyzwyczajono się patrzeć jako na środek do zwykłego rabunku, do osobistego wzbogacania się. Tak naturalnie było za panowania hiszpańskiego. Ale gdy na początku tego wieku pod wpływem Wielkiej Francuskiej rewolucyi i w Argentynie obudziła się żądza wolności, gdy w 1816 roku wywalczono sobie niepodległość, to stare nałogi w polityce pozostały. Dotąd rządy Argentyny, jak zresztą w całej Ameryce Południowej, starają się nie o dobro całego narodu, ani nawet o dobro jakiejś uprzywilejowanej klasy, lecz o napchanie prywatnych kieszeni. U steru władzy ciągle wodzą się za łby różne chciwe i ambitne jednostki, i do tych walk o osobiste korzyści wciągają przeważną część wszelkich ruchliwszych, skorszych do walki politycznej żywiołów.

Idee socyalistyczne mogli tu przynieść tylko nowi emigranci z Europy, którzy już w starym kraju przeszli przez szeregi socyalistyczne. Tak się też stało, ale i to przez długi czas szło nie łatwo.

Wszelka działalność polityczna, a tembardziej walka socyalistyczna, wymaga zwykle przywiązania do kraju, w którym się działa. Tylko wyjątkowe jednostki, ludzie nadzwyczaj wielkiego zapału, mogą tak ukochać ideę, że za nią walczą zawsze i wszędzie, gdzie się tylko znajdą. Ogół, masy, biorąc się do polityki, mają na celu poprawę losu jeśli nie własnego, to przynajmniej swych dzieci, krewnych, wreszcie choćby całej warstwy, wśród której się zrodzili i wyrośli. Tymczasem emigranci wchodzą do nowego społeczeństwa, obcego im mową i zwyczajami. Nie rozumieją go i nie kochają. Łatwo więc zapominają o wszelkich celach ogólnych, a zaprzątają się wyłącznie prywatnymi interesami, osobistą korzyścią. A to tembardziej, gdy świta im jeszcze nadzieja powrotu do kraju ojczystego.

Tak było na początku i z emigracyą do Argentyny. Po zgnieceniu Komuny paryskiej mnóstwo emigrantów-rewolucyonistów francuskich przybyło do tego kraju. Ale tu większość ich rzuciła się do robienia majątku. Przy sprycie i pracowitości łatwo im było prześcigać argentyńczyków, i oto dziś znaczna ilość bogatych kupców w Buenos-Ayres (stolicy Argentyny) — są to byli komunardzi.

Jednak część tych emigrantów postąpiła inaczej. Pierwsze związki socyalistyczne — oddziały wielkiego ówczesnego „Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników“ — powstały w Argentynie pod koniec 1871 roku dzięki właśnie komunardom. Ale w skutek przyczyn, o których poprzednio mówiliśmy, ruch rozwijał się bardzo słabo przez zgórą dwadzieścia lat. Związki robotnicze powstawały i szybko znowu — jak zabawka chwilowa — znikały. Dobrze trzymało się jedno tylko — założone w 1882 roku a do dziś istniejące towarzystwo socyalistów niemieckich w Buenos-Ayres — „Vorwärts“ („Naprzód“) A to dla tego, że niemcy, chociaż nie zżyli się z miejscową ludnością, nie zapomnieli zato o obowiązkach dla partyi w kraju ojczystym. Działali więc w duchu socyaldemokracyi niemieckiej i zasilali ją chociaż pieniężnie. Mieli więc poważny cel dla swej roboty politycznej. Do dziś wydają (chociaż tylko w 500 egzemplarzach) pismo, noszące również nazwę „Vorwärts“, stowarzyszenie zaś owo nabyło nawet na własność dom i t. p.

Z biegiem czasu jednak robienie osobistego majątku stawało się w Argentynie coraz trudniejsze. Kapitalizmu własnego kraj ten coprawda dotąd niewiele posiada. Ale cierpi od kapitalizmu innych krajów. Konkurencya zamorska — pomimo wysokich ceł na towary przywożone — utrudnia drobny przemysł. Niesumienna gospodarka rządowa jeszcze pogarsza położenie. I oto doszło do tego, że gdy w 1897 roku zwołano w Buenos-Ayres zgromadzenie robotników pozbawionych pracy, to zeszło się ich około 3.000. To się dzieje w kraju, gdzie olbrzymie obszary ziemi leżą odłogiem i wcale nie są zaludnione! Zarobki w przemyśle — z wyjątkiem nielicznych wysoce wykwalifikowanych rzemieślników — są dość nizkie — około 2 rubli dziennie,

a tymczasem ceny najniezbędniejszych rzeczy (z wyjątkiem mięsa) bardzo wysokie : zwykły garnitur ubrania kosztuje 40 rubli, komorne jednego pokoju miesięcznie 12 rubli i t. p.

Tak więc koło 1893 roku zaczął się w Argentynie poważniejszy ruch socyalistyczny, a w 1895 r. różne towarzystwa robotnicze łączą się nareszcie w jedną partyę pod nazwą „Socyalistycznej Partyi Robotniczej“. Związki zawodowe jednak do ogólnej organizacyi partyjnej nie weszły. I do dziś organizacya stoi dobrze tylko w stolicy — w Buenos-Ayres. Na prowincyi zaś polityczne stowarzyszenia robotnicze powstają w kilkunastu miasteczkach, ale zwykle istnieją bardzo krótko. Upadają, potem znowu zjawiają się, takie zaś krótkotrwałe organizacye ma się rozumieć większego znaczenia mieć nie mogą.

Dziś Socyalistyczna Partya Robotnicza ma w Buenos-Ayres 15 stowarzyszeń, różniących się albo narodowością swych członków albo dzielnicą miasta, w której istnieją. Wogóle zaś w całym kraju do organizacyi partyjnych należy około 2.000 członków.

Partya postanowiła stawiać własnych kandydatów przy wyborach do parlamentu, ale na tem polu niewiele dotąd jest w stanie zdziałać. W samej stolicy może zebrać przy wyborach zaledwie około 500 głosów dlatego, że znaczna część członków partyi są to nied.wni przybysze do Argentyny, cudzoziemcy, nie mający przy wyborach prawa głosu. Na prowincyi zaś jest pod tym względem jeszcze gorzej.

Szerszemi masami partya w ten sposób może się pochlubić tylko na zgromadzeniach, zwoływanych z różnych powodów. Zgromadzenie dla zaprotestowania przeciwko uciskowi praw o położeniu robotników rolnych, albo zebrania na 1 maja i t. p. liczyły po 3 do 10 tysięcy obecnych. Ciekawem też jest, że jedno z najliczniejszych zgromadzeń było zwołane dla wyrażenia współczucia strejkującym w ubiegłym roku mechanikom w Anglii. Cel zgromadzenia mógł poruszyć argentyńskich miejscowych robotników tylko stosunkowo nieznacznie, ale dla cudzoziemców, rej w ruchu wodzących, był może bardziej zrozumiały, niż wiele spraw miejscowych.

Oprócz niemieckiego tygodnika „Vorwärts“ partya wydaje po hiszpańsku jeden tygodnik i jeden miesięcznik, każdy w 3.000 egzemplarzy. Broszur wydano w Argentynie około 10, każda w 1 do 2 tysięcy egzemplarzy. Pewien odbyt znajdują tu jednak niektóre europejskie pisma i broszury socyalistyczne w językach hiszpańskim, włoskim i francuskim.

Osobne stowarzyszenia partyjne zajmują się szkołą dla agitatorów, teatralnemi przedstawieniami w duchu robotniczym i biblioteką liczącą około 2.500 tomów. Ale wszystko to większego znaczenia nie ma. Dość wspomnieć, że na każdy z wykładów owej szkoły uczęszcza zaledwie po kilkunastu robotników.

Związki fachowe stoją lepiej, niż partya polityczna. W Buenos Ayres liczą one obecnie ogółem około 12.000 członków. Najsilniejsze stosunkowo są związki mularzy, piekarzy, powoźników i malarzy. Związki na prowincyi są równie nietrwałe, jak towarzystwa polityczne. Specyalne pisma wydawane są przez związki : mularski, drukar-

ski i malarski. Robota związków fachowych ogranicza się do prowadzenia strejków, które z największą siłą wybuchały w 1895 i 1896 roku. W 1895 roku odbyło się 20 strejków, w których brały udział 22 tysiące robotników. W 1896 roku w 30 strejkach występowało ogółem około 30 tysięcy robotników. Jednak ze strejków 1896 roku tylko 5 zakończyło się zupełnem, a dwa częściowem zwycięstwem robotników. Inne upadły.

Jak widzimy, ruch socyalistyczny w Argentynie jest jeszcze bardzo słaby, jednak w ostatnich latach można spostrzedz pewne postępy.

* * *

Rozpędzani przez nędzę i ucisk z kraju ojczystego, robotnicy polscy dotarli i do Argentyny. Jest ich pewna ilość i w tym kraju. Ale wielkie już masy pracującego ludu polskiego zebrały się w Brazylii. Ten kraj więc może nas więcej obchodzić. Jednak socyalizm w Brazylii jest jeszcze słabszy, niż w Argentynie i — prawdopodobnie — później jeszcze tu się rozwinie.

Wszystkie przyczyny, które w Argentynie tamują rozwój socyalizmu, istnieją w Brazylii w jeszcze większym stopniu. Gospodarka Portugalii, do której Brazylia dawniej należała, niczem nie była lepsza od hiszpańskiej. Zapatrywanie się na pracę jako na coś upokarzającego, a więc brak poczucia godności robotniczej, jest u białych brazylijczyków silniejsze jeszcze niż u argentyńczyków. Gdy po wyzwoleniu niewolników zabrakło brazylijczykom przymusowej pracy murzynów, zaczęli ściągać na gwałt kłamliwemi obietnicami emigrantów z Europy. Wtedy to właśnie znaleźli oni posłuch zwłaszcza u chłopów polskich! Tak więc ludność pracująca Brazylii składa się poczęści z wyzwolonych niewolników-murzynów, poczęści z napół dzikich potomków pierwotnych mieszkańców tego kraju — indyan, poczęści wreszcie z przybyszów z całego świata. Ci ostatni nie poczuwają się do żadnej solidarności nietylko z tubylcami brazylijczykami, lecz również i między sobą. Nawet w stolicy kraju, w Rio-de-Janeiro znaczną większość ludności pracującej stanowią ludzie o kolorowej skórze. A ci nawet pretensyi do ludzkiego życia nie mają : na pociechę po ciężkiej pracy wystarcza im trunek i dzikie pląsy. Co zaś do oświaty, to na 100 mieszkańców Brazylii 84 nie umie ani czytać ani pisać.

Jednak czerwony sztandar i w tym kraju ma już zwolenników. Spotykają się socyaliści nawet wśród deputowanych do parlamentu. Ale ci nie zawdzięczają swego wyboru partyi — dotąd bardzo słabej, lecz swym osobistym zaletom.

Partya socyalistyczna została w Brazylii założona w 1890 roku. Silniejszy ruch istnieje tutaj wśród emigrantów niemców w Santa Catharina i Rio Grande do Sul. Centralny komitet jest w stolicy Rio-de-Janeiro.

Życie partyi na zewnątrz — jak dotąd — objawia się głównie przy zgromadzeniach w dniu 1 maja. Co zaś do literatury, to brazylijscy towarzysze korzystają przeważnie z książek wydanych w Europie.

B. A. J.

